P. OWIDYUSZA NASONA
METAMORFOZY

(W WYBORZE)

WEDŁUG PRZEKŁADU
BRUNONA KICIŃSKIEGO
I JAKÓBA ŻEBROWSKIEGO
WYDAŁ BRONISŁAW SWIBA

KRAKÓW · NAKŁADEM AUTORA · 1907

P. OWIDYUSZA NASONA
METAMORFOZY

(W WYBORZE)

WEDŁUG PRZEKŁADU
BRUNONA KICIŃSKIEGO
I JAKÓBA ŻEBROWSKIEGO
WYDAŁ BRONISŁAW SWIBA

KRAKÓW NAKŁADEM AUTORA 1907

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

WSTĘP.

W literaturze ojczystej nie posiadamy doskonałego przekładu »Metamorfoz Owidyusza«. Nim się ten pojawi, wydano niniejszem pewne wycinki z przekładów Metamorfoz Brunona hr. Kicińskiego w Warszawie 1843 i Jakóba Żebrowskiego w Wilnie 1821. Pierwsze z tych zyskało sobie swojego czasu wiele rozgłosu; drugie przeszłością swoją sięgające aż wieku zygmuntowskiego, stanowiące cenny zabytek literatury nadobnej, dziś przestarzałe, uległo w tem wydaniu niejednej zmianie, celem jaśniejszego przedstawienia myśli.

Wydanie obecne — zdaniem mojem — odda nie małą usługę i tym, którzy z dnia na dzień pojedyncze pieśni genialnego poety przekładają na język ojczysty i tym, którzy pragną więcej zapoznać się z jego dziełami. Z codziennej nadto praktyki wiadomo, że odczytanie publicznie pewnej partyi dzieła poety w przekładzie poetycznym sprawia miłe wewnętrzne zadowolenie i nie mało się przyczynia do zrozumienia dzieł autora, do pojęcia jego myśli twórczej.

Oby praca ta, lubo nie oryginalna, przyczyniła się choć w części do poznania pełnego wdzięku poety augustowskiej epoki.

Autor.

1. PRZEDMOWA POETY.

Chcę głosić w nową postać przemienione ciała:
Bogi, wszechmocność wasza tych zmian dokonała,
Wy mój zamiar wesprzyjcie i od źródła świata
Wiersz ciągły aż po moje doprowadźcie lata.

2. CZTERY PORY WIEKU.

A najpierw był wiek złoty. Nie z bojaźni kary,
Z własnej chęci strzeżono i cnoty i wiary.
Kary, trwogi nie było. W spiżowych tablicach
Groźby praw i wyroku na sędziego licach
Lud nie czytał, bez sędziów byli bezpiecznymi.
I sosny dla zwiedzenia obcej sobie ziemi
Nie zstąpiły do morza, ścięte z gór rodzinnych,
I człowiek prócz ojczystych nie znał brzegów innych.
Grodów nie otaczano spadzistymi wały;
Proste trąby i surmy zagięte nie brzmiały,
Hełmu, miecza nie było: a bez wojsk narody
Bezpiecznej używały w pokoju swobody.
Radłem, broną nietknięta, od pługu spokojna,
Wszystko z siebie dawała ziemia w dary hojna;
Przestając na pokarmie zrodzonym bez pracy,
Jeżyny, z gór poziomki zbierali wieśniacy,

Tarnki i głóg rosnący na krzakach ciernistych,
I żołędzie upadłe z dębów rozłożystych.
Wiosna była wieczysta. Zefiry łagodne
Rozwijały tchem ciepłym kwiaty samorodne.
Zboża na nieoranej rodziły się ziemi
I łan ugorny kłosy połyskał ciężkimi.
Już mleko, już i nektar hojną płyną rzeką,
I z zielonego dębu żółte miody cieką.
— Gdy strąciwszy Saturna w ciemne piekieł kraje
Jowisz wziął berło świata, wiek srebrny nastaje,
Gorszy niżeli złoty, od miedzi cenniejszy.
Wtedy to, starożytnej wiosny czas skróciwszy,
W zimę, niestałą jesień i w lata upały
I w krótką wiosnę Jowisz rok przedziela cały.
Wtedy jęło powietrze wrzeć skwarnemi spieki
A lód wiatrami ścięty pozakrywał rzeki.
Szukano domów. Były domami gęstwiny,
Pieczary i szałasy z chrustu i wikliny.
Cerery ziarna w długie ukryto zagony
I młody wół zajęknął jarzmem uciśniony.
— Wiek trzeci był miedziany: dziki, niespokojny,
A choć wolny od zbrodni, już skorszy do wojny.
W końcu nastał wiek twardem przezwany żelazem.
Z nim wszystkie na świat zbrodnie wyrwały się razem:
Wstyd, niewinność i wiara i prawda uciekła,
Ich miejsce wzięła chytrość, zdrada, zemsta wściekła,
Z żądzą władzy i bogactw pragnieniem łakomem.
Rozciągnął żeglarz żagle wiatrom nieznajomym;
I te, co długo stały na wyniosłej górze
Płynąc sosny po morzach wyzywają burze.
Wprzód wspólną jak powietrze, jak słoneczną jasność,
Miernik ziemię miedzami pokrajał na własność.
Nie tylko z niej owoce i zboża ciągniono,
Więcej żądała chciwość, wdarła się w jej łono,

Stąd owe drogie skarby zostały dobyte,
Podniety złego, dotąd blizko Piekieł skryte.
Już szkodliwe żelazo i kruszec szkodliwszy
Wyszedł na świat; a wojna ich obu używszy,
Krwawą prawicą niezgód pochodnię rozżarza.
Żyją z łupiestw; niepewny gość u gospodarza,
Teść zięcia, brat własnego brata nienawidzi,
Mąż w żonie, żona w mężu wroga swego widzi;
Macocha swym pasierbom jad gotuje skrycie;
I syn chciałby przed czasem skrócić ojca życie.
Ginie cnota, krwią zlane widząc ludzkie plemię,
Ostatnia z bóstw Astrea opuściła ziemię.
I żeby bogów samych pozbawić pokoju,
Berło nieba giganci pragną wydrzeć w boju,
Szli ku gwiazdom, na góry piętrząc gór ogromy.
Ale ojciec wszechmocny niszczącymi gromy
Rozciął Olimp i Ossę z Pelionu zsadził,
I grzebiąc w gór tych zaspach buntowników zgładził.
Krwią swych synów nasiąkłszy rozgrzała się ziemia
I, z tej krwi ciepłej nowe istoty rozplemia,
Lecz chcąc pamięć dzikiego zatrzeć pokolenia,
Postać jego przetwarza i w kształt ludzi zmienia.
Lecz i ten ród bezbożny morderstwem dowodził:
Że we wszystkiem był godzien krwi, z której się rodził.

3. ZGROMADZENIE BOGÓW.

Co widząc ojciec Jowisz z szczytów swojej wieży,
Westchnął, a mając w oczach przykład zbrodni świeży,
Przykład twej sprośnej uczty, niecny Lykaonie,
Strasznem i siebie godnem oburzeniem płonie.
Zwołał radę: wezwani schodzą się bez zwłoki.
Na niebie w czas pogodny widać pas szeroki,

Który się od białości mleczną drogą zowie.
Tędy do gromowładcy zwykli iść bogowie.
Z obu stron koło zamku królewskiego progów
Stoją otworem gmachy pierwszych nieba bogów.
Gmin bożków mieszka niżej, a w środku niebianie
Najpotężniejsi świetne zajmują mieszkanie.
Jeśli wyrazom dodać śmiałości potrzeba,
Bez obawy to miejsce zwię Pałacem nieba.
W marmurowem siedlisku bóstwa się gromadzą,
Na swem berle oparty wyższy od nich władzą
Wszechmocny, zmarszczył czoło; na to poruszenie
Ziemię, morze i gwiazdy silne wstrząsło drżenie.
I rzekł, słusznego gniewu przejęty zapałem:
»Nie tyle o tron świata wówczas się lękałem,
Gdy sturęczne olbrzymy potężnem ramieniem
Oblężonemu niebu groziły zniszczeniem.
Choć to był nieprzyjaciel dziki, niespokojny,
Lecz od jednego tylko zależał los wojny.
Dziś, gdziekolwiek Nereus opasuje ziemię,
Zasłużyło na zgubę całe ludzkie plemię.
Przysięgam wam, bogowie, na rzekę piekielną,
Wszystkiego doświadczyłem. Lecz ranę śmiertelną
Wyciąć trzeba, by jeszcze zbawić ciało zdrowe.
Są na ziemi półbożki i bóstwa domowe,
Satyry, Nimfy, Fauny i górni Sylwani:
Choć do zaszczytów nieba nie są przypuszczani,
Niech przynajmniej na ziemi mają pobyt błogi.
Lecz mogąż być bezpieczni, powiedzcie mi, bogi,
Gdy mię zdradził Lykaon, słynny bezprawiami,
Mnie, który rządzę gromem i światem i wami?«
Z głośną wrzawą żądają wydania zbrodniarza.
Tak gdy występna ręka w krwi Rzymian Cesarza,
Oręż zbroczyć i Rzymian imię zgubić chciała,
Zadziwił się ród ludzki i wzdrygnął świat cały.

Wtedy tak Cię, Auguście, cieszyło kochanie
Twych ludów, jak Jowisza niebian przywiązanie.
Skoro wrzawa ucichła na władcy skinienie,
Ojciec bogów raz drugi przerywa milczenie:
«Nie trwożcie się! Już zbrodniarz w mękach kończy życie.
O zbrodni i o karze razem się dowiecie.
Gdy się do mnie występki śmiertelnych doniosły,
Nie chcąc im wierzyć, Olimp opuszczam wyniosły
I bóg w postaci ludzkiej zwiedzam ziemię całą.
Zbytby się długo wszystkie zbrodnie wyliczało:
Wszędzie okropna prawda wieść samą przechodzi.
Menal, w którego kniejach dziki zwierz się płodzi,
I Cyllen przeminąłem i Licejskie jodły.
Nad zmierzchem do Arkadyi kroki mię przywiodły
I do niegościnnego pałacu tyrana.
Obwieszczam przyjście boga, lud padł na kolana.
Łatwowierność poddanych Lykaon wyśmiewa:
»»Wkrótce się nam odkryje prawda niewątpliwa,
Poznam, rzekł, czy was wiara nie łudzi pobożna,
Czy go za śmiertelnego, czy bóstwo brać można««.
Pragnął snem ujętego zgubić niespodzianie:
Takie zbrodniarz o prawdzie lubił przekonanie.
Nie dość na tem: jednemu z tych, co go kraina
Molossów w zakład dała, gardło w pół podrzyna,
Drgających jeszcze cząstek, pół ukropem parzy,
A drugie pół na węglach podłożonych żarzy.
Gdy je na stół zastawił, zaraz w gniewie mściwym
Pałac razem i z panem palę niegodziwym.
On przelękły ucieka, doczekawszy nocy,
Wyje, chciałby przemówić, lecz już nie ma mocy:
Pieni się od wściekłości, do łupiestwa spieszy
I rzuca się na stada i z krwi jeszcze cieszy.
Suknie w sierść, ręce w nogi, sam w wilka się zmienia.
W nowej postaci dawne zostają pragnienia.

Siwe miał dawniej włosy, sierść została siwa
I wzrok srogością skrzący i żądza krwi chciwa.
Padł dom jeden. Niejedne tak upaść powinny,
Bo w całym świecie dzikie panują Erynny.
Zdaje się jakby zbrodni zaprzysięgli wiarę.
Spełnię wyrok: odniosą zasłużoną karę!«
Część zgromadzonych jawnie głos Jowisza chwali,
Ci go jątrzą, ci tylko w milczeniu słuchali.
Lecz wszystkich los człowieka do litości budzi,
Osierocona ziemia czem będzie bez ludzi?
Od kogo na ołtarzach ofiary mieć będą?
Czy tylko dzikie zwierza cały świat posiędą?
— Pytają. Jowisz na to: »Moje w tem staranie —
Bądźcie spokojni, wkrótce cudowne powstanie
Dawnemu niepodobne i cnotliwsze plemię«.
I już miał gromy swoje rozrzucić na ziemię:
Lecz z obawy, by pożar wszczęty od piorunów
Eteru nie ogarnął, nie spalił biegunów,
I pomny, że wyroków wolą niecofnioną
Kiedyś morze i ziemia i niebiosa spłoną,
I cały świat powszechna ogarnie zagłada,
Ukute przez Cyklopów pioruny odkłada.
Inną karą chce zniszczyć ziemian ród zuchwały,
Chce, by z wszystkich chmur nieba deszcze razem lały.

4. POTOP.

(Ciąg dalszy).

Zasadza Akwilona do Eolskiej góry
Z wiatrami, co skupione rozpędzają chmury,
Zsyła Nota. Na mokrych skrzydłach Not się zrywa,
Groźne jego oblicze gęsta mgła okrywa;
Chmury osiadły czoło, deszczem cięży broda,
Skrzydła i włosy siwe porosiła woda.

On, gdy silną prawicą chmury z sobą zetrze,
Grom pada i rzęsisty deszcz siecze powietrze.
Iryda w różnobarwne przybrana odzienie,
Wciąga wody, podaje chmurom pożywienie.
Ściele się zboże, smutna nadzieja rolnika,
Długiego roku praca nadaremnie znika.
Ale na zemście nieba Jowisz nie przestaje,
Brat jego w modrych nurtach posiłki mu daje.
Zwołał rzeki. Gdy weszły w dom swojego króla,
»Czas drogi, rzekł on, spieszcie, taka niebios wola,
Wywrzyjcie wasze siły i domy otwórzcie,
Puśćcie strumieniem wodze i tamy rozburzcie«.
Kazał: odchodzą, zdrojom rozszerzają łoże
I w wyuzdanym biegu staczają je w morze.
On sam trącił trójzębem w ziemię przelęknioną:
Zajękła i otwarła wód ukrytych łono.
Wzdęte ryczą po polach, a niszcząc zasiewy
I ludzi porywają i stada i krzewy,
Chaty i poświęcone przybytki niebianom.
Choć gmach jaki dostoi wzburzonym bałwanom,
Przecież silniejsza fala wkrótce go zabierze,
Runęły nawet w morze naciśnione wieże.
Już i ziemia i morze różnicy nie miało:
Wszystko jest morzem; morzu brzegów brakowało.
Ten zajmuje pagórek, w czółno wsiada drugi,
I tam wiosłem kieruje, gdzie prowadził pługi;
Ten nad zbożami pływa i nad wsią zalaną,
Ów chwycił z szczytu wiązu rybę zabłąkaną.
Ten na łąkach zielonych zapuszcza kotwicę
I krzywym grzbietem nawy płynie przez winnice.
A, gdzie wprzód zręczne kozy gryzły trawkę małą,
Tam byk morski pokłada swe niekształtne ciało.
Widząc pod wodą miasta, gaje i świątynie,
Morskie na to zjawisko zdumiały boginie.

Delfiny tłukąc dęby igrały po lesie.
Płynie wilk pośród owiec, tu fala lwa niesie,
Owdzie niesie tygrysa, moc dzika nie zbawi,
Ani lekkością biegu jeleń się zastawi.
Długo próżno szukając spoczynku i ziemi,
Ptak błędny upadł w morze skrzydły zmęczonemi.
Wreszcie i góry pokrył ocean wezbrany,
Do szczytu ich nieznane dosięgły bałwany.
Część ludzi legła w morzu; z morza pozostali
W długich męczarniach głodu życia dokonali.

5. DEUKALION I PYRRHA.

(Ciąg dalszy).

Od mieszkańców Aonii Attykę dzieliła
Focyda, ziemia żyzna, póki ziemią była.
Teraz tylko dno morskie. Stamtąd góra stroma,
Wyniesiona nad chmury wierzchołkami dwoma,
Parnas zwana, pod gwiazdy szczyty wzbija śmiało.
Tu Deukalion, gdy resztę morze zakrywało
Przybił z Pyrrhą na szczupłej łodzi uniesiony.
Bóstwom góry i Nimfom składają pokłony,
I Temidzie wróżącej w korykijskiej grocie.
Nad niego żaden bardziej nie kochał się w cnocie,
Nad nią bogobojniejszej na świecie nie było.
    Widząc Jowisz, że morze jest ziemi mogiłą,
Że z tylu kroci ludzi jest już tylko dwoje,
Oboje bogom wierni, niewinni oboje,
Spędza mgły; Akwilonem pasmo chmur rozrywa,
Niebu ziemię, a ziemi niebiosa odkrywa.
    I gniew morza ustaje. Neptun trójząb złożył,
Bystre wiatry uciszył i wiatry ukorzył.
Woła Trytona. Tryton wyższy nad bałwany,
Przypływa samorodną purpurą odziany;

Pan morza w brzmiącą konchę dąć mu każe silnie,
I wodom do odwrotu dać znak nieomylnie.
Tryton porywa trąbę wydrążoną, krętą,
Wijącą się przy środku, a w końcu wygiętą.
Gdy w nią zagrzmiał po morzu, w oba ziemi końce
Głos się rozległ, gdzie wschodzi i zachodzi słońce.
Z mocnych piersi dobyty, dzielny dech w nią przelał
I tak rozkazów władcy poddanym udzielał.
Słyszą je wszystkie ziemskie i morskie potoki,
A te, co je słyszały, spełniają bez zwłoki.
Już ocean ma brzegi, łoże swoje rzeka,
Wzgórki wychodzą z morza, woda w zdroje ścieka,
Ląd się wznosi i wzrasta przez morza ubycie;
Widać lasy bez liści; na ich martwym szczycie
I na konarach nagich muł pozostał tłusty,
Swiat się wrócił, lecz niemy, odludny i pusty.
Gdy na milczącej ziemi byli tylko sami,
Deukalion do Pyrrhy tak mówił ze łzami:
»Siostro! żono! kobieto jedna pozostała,
Nie dość, że nas od młodu krwi wspólność wiązała,
Później śluby, dziś jeszcze wiąże nieszczęść brzemię:
Od wschodu do zachodu na obszerną ziemię,
W nas dwojgu wszystek naród; w morzu znikli inni.
I my jeszcze nadziei ufać nie powinni:
Jeszcze chmury nad nami prorokują burze.
Cóż, gdybyś sama jedna została w naturze?
Jakżebyś zniosła trwogę, o, nad życie miła?
Boleść, albo zmartwienie z kimżebyś dzieliła?
Wierz mi, gdybym cię widział w morzu pochłonioną,
I ja w morze za tobą rzuciłbym się, żono!
O, czemuż ojca mego nauką nie słynę,
I nie umiem wlać duszy w ulepioną glinę?
Na nas stoi ludzkiego rodu utrzymanie,
W nas chcieli choć wzór ludzi zachować niebianie«.

— Rzekł. Zapłakał i nowych lękając się ciosów,
Chcąc od wyroczni przyszłych dowiedzieć się losów,
Bez zwłoki postępują nad Cefizu brzegiem,
Płynącym w dawnem łożu, lecz powolnym biegiem.
Włosy i szaty świętą pokropiwszy wodą,
Do Temidy świątyni trwożne kroki wiodą.
Szczyt jej okrył mech szpetny, ściany muł nieczysty,
A na ołtarzach wygasł ogień płomienisty.
Przyszedłszy do świątyni padają na twarze
I tak się modlą zimne całując ołtarze:
»Jeśli prośbą śmiertelni bóstwo zmiękczyć w stanie,
Jeśli gniew po modlitwie łagodzą niebianie,
Rzeknij, jak można klęski potopu naprawić,
Temido! racz nieszczęsnych wysłuchać i zbawić«.
Zmiękczone bóstwo taką wydaje wyrocznię:
»Twarz zakryjcie, z świątyni wychodźcie niezwłocznie
I ciskajcie za sobą kości swojej matki«.
Trwożą ich niepojęte wyroczni ostatki,
Najpierwsza Pyrrha długie przerywa milczenie,
I obawia się boskie spełnić polecenie.
»Nie, rzekła, nigdy taką zbrodnią się nie zmażę,
I tak sromotnie cieniów matki nie znieważę«.
Tymczasem roztrząsając te ciemne wyroki,
Odkrył Deukalion światło z ponurej pomroki,
»Myśl moja, lub się mylną okaże niezwłocznie,
Rzekł, albo nam nic złego nie radzą wyrocznie.
Matką naszą jest ziemia, kośćmi są kamienie,
Te rzucając, wznowimy ludów pokolenie«.
Uwierzyć wieszczbie męża małżonka się waha,
Jemu nawet nadzieja wydaje się błaha,
Ale mogą tej wróżby doświadczyć bez straty.
Więc wychodzą, twarz kryją, rozpasują szaty,
I wieszczącej bogini pełnią świętą wolę,
Poza siebie kamienie rzucają na pole.

Głazy (któżby dał wiarę, lecz wieków podanie
Nie mylne w niewierzących wlewa przekonanie)
Ostrości i twardości zaczęły pozbywać,
Mięknąć i już przemiękłe pewien kształt nabywać.
Gdy zmieniwszy naturę zwolna rosnąć zaczną,
Przyjmują postać ludzką, choć jeszcze nieznaczną
I podobną do owych posągów rzeźbiarzy,
Gdy pierwsze cięcie dłuta odznaczy rys twarzy.
Część zimna lub wilgotna, jak kamień składała,
Zaraz przechodzi w ciało, w krew i soki ciała;
Część twarda i niezgięta w kości się przemienia,
Żyła zostaje żyłą, nie tracąc imienia.
Tak odżył świat, potopu wyludniony klęską.
Głaz rzucony przez męża, przybrał postać męską,
Z rąk kobiety kamienie kształt kobiet przybrały.
Stąd poszedł ród nasz twardy, na pracę wytrwały,
To nasz dowód z jakiego pochodzimy źródła.

6. FAETON.

Dwór słońca był wyniosły na słupach przejrzystych
Połyskał się od złota i blach płomienistych.
Szczyty słoniową kością wspaniale jaśniały,
O drzwi z srebra ulane blask promienny siały.
Nad kruszce droższa praca, bo Wulkana dłutem
Morze świat obwodzące było tu wykutem,
Ziemia i okrąg nieba nad ziemią wiszący.
Ma swoje bóstwa morze, płynie Tryton grzmiący,
I Proteusz odmienny i Egeon z nimi,
Tłocząc grzbiet wielorybów ramiony silnemi.
Jest Doris, są i córki, z tych część jedna pływa,
Część susząc włos zielony na darni spoczywa,
Te wożą się na rybach. Mają podobieństwo,

A jednak różność w twarzy, jak często rodzeństwo.
Grunt dźwiga ludzi, miasta, lasy, zwierząt mnóstwo.
Rzeki, Nimfy i włościom sprzyjające bóstwa.
Nad wszystkiem okrąg niebios świetnym ogniem płonie,
Sześć znaków jest po lewej, sześć po prawej stronie.
— Doszedłszy syn Klimeny wśród górzystej drogi
W wątpliwego mu ojca jaśniejące progi,
Widząc twarz, która ogniem płomienistym błyska,
Stanął; oko światłości znieść nie mogło z blizka.
Na tronie od szmaragdów lśniącym się bez końca
Siedział w szkarłatnej szacie bóg światła i słońca.
Z obu stron wkoło niego był wiek, rok, miesiące,
Dzień i godziny w równych odstępach stojące,
I młoda wiosna w kwiaty ozdobna i hoża,
I nagie lato z wieńcem splecionym ze zboża,
Jesień tłocząca stopą słodkie winogrona,
I lodowata zima, szronem ubielona.
Tem okiem, które światów przegląda przestrzenie,
Feb młodziana przed tronem ujrzał zadumienie.
»Cóż cię, rzekł, Faetonie, sprowadza w te strony?
Potomku, ojcu drogi i niezaprzeczony!«
»Pochodnio niezmierzonych, światów, ojcze Febie!
Jeśli mnie tem imieniem wolno nazwać ciebie,
Chciej jawnie dowieść rodu mojego prawdziwość
I rozprósz obelżywą umysłu wątpliwość«.
Wyrzekł. Feb składa z czoła błyszczące promienie,
Ojcowski dając uścisk, mówi: »Wierz Klimenie,
Ty synem moim jesteś i godnyś nim zostać,
Chcesz rękojmi, więc żądaj, wszystko możesz dostać.
Przysięgam: ty mnie słuchaj piekielny potoku,
Swiadku bogów, mojemu niewidzialny oku«.
Ledwie przestał, już ojca błagasz Faetonie
By ci na dzień dał w zarząd skrzydłonogie konie.

— Zawczesnego żałował ojciec przyrzeczenia,
Swietną wstrząsając głową, rzekł: »Twoje życzenia
Dowiodły, że niebaczny przysiągłem zuchwale.
Obym przysiąg nie czynił lub mógł cofnąć wcale,
Byłbym ze wszystkich darów ten zastrzegł jedynie,
Lecz wolno mi odradzać, co mogę uczynię.
Wielkich rzeczy wymagasz i nad siłę twoją,
Takie dary młodzieńczym latom nie przystoją.
Losy masz wspólne z ludźmi, żądze z niebianami,
Czego chcesz, chcieć bogowie nie śmieliby sami.
Prócz mię, żadenby nie siadł na ognistej osi.
Nawet ten, co go niebo władcą swoim głosi,
Ten, co straszną prawicą palne gromy miecie.
A któż może być większy nad Jowisza w świecie?
Zrazu przykrą mam drogę, nią ledwie, jak trzeba
Wzmagają z rana konie; najwyższa wśród nieba;
Skąd widząc ziemię, morza, sam z przestrachu płonę,
Bije mi drżące serce trwogą napojone.
Przy końcu idzie w przepaść; w dzielnej trzeba dłoni
Co siła dzierżyć wodze, bo nie wstrzymasz koni.
I sama nawet Tetys, gdy schodzę w jej wody,
Lęka się, by mnie w morskie nie strąciły brody.
Dodaj, że niebo ciągle obraca się kołem,
Górne gwiazdy w wir chwyta i kręci je społem.
Ja wznosząc się nad ziemię, w sprzeczną stronę dążę,
Pęd, co resztę porywa, mnie tylko nie wiąże.
Chociaż dam wóz: cóż poczniesz? znajdziesz śmierć stokrotną,
Porwany krętych połów osią wartkolotną.
W rozognionym umyśle może ci się zdaje,
Że tam są boskie grody, świątynie i gaje?
Wśród zasadzek jest droga i zwierz straszny mnogi.
Choćbyś nawet nie zbłądził i trzymał się drogi,
Iść musisz na poroże przeciwnego cielca,

Na lwią paszczę, na groty hemońskiego strzelca,
Niedźwiadka krzywiącego swe nogi dziwacznie,
I raka idącego od innych opacznie.
I zdołaszże powstrzymać niecierpliwe konie,
Parskające tym ogniem, którym pierś ich płonie.
Ja sam, gdy się zbiegają, ledwie nimi władnę,
Bo ich karku wędzidło nie powściągnie żadne.
Niech nie będę powodem nieszczęść i złorzeczeń,
Zmień chęci, lub mnie synu zwolnij od przyrzeczeń.
Chceszże rękojmi, z mego że pochodzisz rodu:
Patrz na mą trwogę, trzebaż lepszego dowodu?
Po ojcowskiej obawie poznaj ojca we mnie,
Troski me czytaj z oczu i dziel je wzajemnie!
Z tego, co świat bogaty ukrywa w swem łonie,
Z morskich i ziemskich skarbów żądaj Faetonie:
Wybieraj, nie odmówię, tego nie chciej w darze,
Czem cię nie uszczęśliwię, a raczej ukarzę.
Tak synu! zamiast daru kary się domagasz,
Niebaczny! stoisz jeszcze i pochlebnie błagasz?
Przyrzekłem, więc dotrzymam mego przyrzeczenia;
Dam, co chcesz, rozsądniejsze miej przecież życzenia«.
— Skończył ojciec przestrogi. Syn swego zamiaru
Nie zmienia, stały w żądzy używania daru.
Po daremnej przewłoce Feb wiedzie młodziana
Do wspaniałego wozu, do pracy Wulkana.
Oś złota, dyszel złoty, dzwony są złociste,
A ze szczerego srebra sprychy promieniste.
Na wierzchu chryzolity i drogie kamienie
Gorejącego słońca oddają wejrzenie.
Sławne boskiego mistrza przeglądając dzieła,
Gdy Faetona podziw i radość przejęła,
Czujna zorza od wschodu szkarłatne podwoje
Uchyla i odsłania pełne róż pokoje.
Schodzą gwiazdy, jutrzenka ich orszak zamyka

I na ostatku z niebios stanowiska znika.
Widząc Feb, że już ziemia i świat się rumieni,
Że pobladł róg księżyca na niebios przestrzeni,
Każe rączym godzinom sprządz konie zwyczajnie.
Pełnią rozkaz, na górne udają się stajnie,
A syte ambrozyi, ogniem parskające
Wiodą konie, w wędzidła ująwszy brzęczące.
Feb wtedy wytłoczonym z różnych ziół nektarem
Ubezpiecza twarz syna przed płomieni żarem.
Czoło zdobi promieńmi; przewidując skutki,
Rzecze z westchnieniem przyszłe zwiastującem smutki:
»Już korzystać z rad ojca nie będziesz mógł dłużej,
Słuchaj mię, rzadko bicza, częściej lic ów użyj:
Dzielne moje rumaki same lecą śmiało;
Powściągnąć ich i wstrzymać jest pracą nie małą.
Na pięć łuków rozpiętych nie kieruj ich kroki,
W ukos po za trzy strefy idzie pas szeroki,
Przed obu biegunami zarówno ucieka,
I tym, co mrozi lodem i co skwarem spieka.
Tędy leć; kół mych śladu trzymać ci się trzeba,
Ażebyś grzał jednako i ziemię i nieba;
Nie leć ani zbyt górą, ani nazbyt nizko,
Bobyś spalił lub bogów lub ziemian siedlisko,
Najbezpieczniej iść środkiem. Węża z prawej strony,
Z lewej nie uderz osią w ołtarz pochylony:
Trzymaj się między nimi. Na los resztę zdaję
Lepsze, niż ty sam sobie rady niech ci daje.
Ale już noc wilgotna zaszła w ziemi końce,
Już mi zwlekać nie wolno, świat czeka na słońce:
Już zabłysła jutrzenka, rozprószywszy cienie.
Weź za wodze! — Lub, jeśli zmieniłeś życzenie,
Nie na rumaki ojca, lecz na rady zważaj;
Póki możesz, na pewną śmierć się nie narażaj,
I wóz mi zostawiwszy, używaj szczęśliwie

Widoku tej jasności, którą świat ożywię!«
— Syn z młodzieńczą żywością na lekki wóz siada
I niechętnemu ojcu tkliwe dzięki składa,
Ująwszy wodze z sercem radośnie natchnionem.
Tymczasem Pirois, Eton, Eous z Flegonem,
Skrzydlate słońca konie, lejce pianą kryją,
Rżą głośno i w zapory kopytami biją.
Nie znając wnuka losów Tetys je otwiera,
Wtem niezmierzonych światów przestronność przeziera;
Konie pędem rwą drogę, a lecąc do góry
I wiatry wymijają i spędzają chmury.
Lecz na wozie był ciężar za lekki, nie taki,
Żeby go uczuć mogły Febowe rumaki.
Jako na morzu okręt niedoładowany,
W różne strony wiatr miota i niosą bałwany,
Tak zwykłego ciężaru nie mając wóz słońca,
Jakby próżny to spada, to skacze bez końca.
Gdy to poznały konie, nie pilnują śladu,
Schodzą z ubitej drogi i lecą bez ładu.
Drży Faeton i nie wie dokąd cugle skłoni,
Nie zna drogi i znając nie wstrzymałby koni.
Wówczas Triony, spiekłe skwarnymi upały,
Próżno w wzbronionem morzu zanurzyć się chciały.
Wąż najbliżej stojący lodowatej osi
Rozmarzły, znowu jady wokoło roznosi.
I ty, na straszny widok powszechnej pożogi,
Boocie! Twoich wozów odstąpiłeś z trwogi.
— Gdy już stanął Faeton na najwyższem niebie,
Widząc ziemię daleko, daleko od siebie,
Nagle kolana pod nim zadrżały, twarz zbladła,
Na wzrok blaskiem rażony pomroka zapadła.
Wolałby nigdy nie znać rumaków ojcowskich,
Ani się nie przyznawać do pochodzeń boskich,
I jako syn Meropa żyć w świecie nieznany.

A w tem pędzą z nim konie, jak wiatr rozhukany
Łódź niesie, gdy wędrowcy bez steru wśród nocy,
Drżący, tylko się boskiej oddają pomocy.
Już znaczny przebiegł zawód, większy przebiedz trzeba;
Co czynić? Mierzy w myśli obie części nieba.
Już się wątpliwym wzrokiem obraca do wschodu,
Już na wzbronione sobie krainy zachodu.
W niedość silnej prawicy słabo trzyma wodze,
I przezwiska rumaków zapomina w trwodze.
To rozsiane po niebie potwory i dziwy,
To dzikich zwierząt kształty przegląda trwożliwy.
— Jest miejsce, gdzie do Bliźniąt Niedźwiadek się wciska
I dwóch znaków niebieskich przytykając z blizka,
Ogonem i barkami wkracza w ich posady.
Ujrzawszy go Faeton, jak czarnymi jady
Zbryzgany, ostrem żądłem groził śmiercią srogą,
Wodze wypuszcza z ręki zimną zdjęty trwogą.
Zaledwie je na grzbietach uczuły rumaki,
Bez wściągu, przez powietrze w nieznajome szlaki
Lecą i tam wóz toczą, gdzie ich rwie pęd jazdy,
To po dzikich bezdrożach, to pod same gwiazdy,
Raz do nieba się wzbiją i znowu do ziemi,
Spuszczają się jak w przepaść skrzydłami rączemi.
Zdumiał księżyc, wóz słońca rozpoznawszy z góry.
W tem zwolna wrzące dymić poczęły się chmury.
Wzgórza płomień ogarnął, rozpękły opoki,
I spiekł się grunt, wilgotne postradawszy soki.
Schnie łąka, tlą się drzewa, wysusza krynica,
A zboże z własną szkodą płomienie podsyca,
Lecz nad małem się żalę: Wielkie giną grody
I w proch się obracają kraje i narody.
Razem z górami płoną i bory stuletnie;
Podwójne ognie zewsząd ogarnęły Etnę,
Gore Atos, Tmol, Taurus, Helikon dziewiczy,

Hemos, co czci Orfeja jeszcze nie dziedziczy.
Teraz sucha, wprzód Ida zdrojami wsławiona
I pierwszy raz Rodopa śniegów pozbawiona,
Dwuszczytny Parnas, Otrys, Mimas, Eryx, Ete,
Dyndyma, Cynt, z piękności mający zaletę.
Mykale i Cyteron do ofiar stworzony,
Gore Kaukaz, nic Scytom nie pomogły szrony,
I Pind z Ossą i Olimp wyższy nad te góry
I Alpy i Apenin dźwigający chmury.
— Patrzy Faeton, ziemia go razi płonąca,
On już sam znieść nie może zbytniego gorąca.
Wciąga wrzące powietrze żarem przyduszony,
I czuje już pod sobą swój wóz rozpalony.
Lecą skry i popioły po niebios przestrzeni,
Obejmując go w tuman dymów i płomieni.
W czarnym kłębie zamknięty, w jakiej byłby stronie,
Nie wie, lecą z nim w oślep samowolne konie.
Wówczas, gdy nagłe ognie całą ziemię spiekły,
Czarną Etiopów twarze barwą się powlekły.
Wówczas z ziemi żar soki pożywne wyplenił,
I urodzajną Libję w pustynię zamienił.
Płaczą Nimfy, Beocya za zdrojem Dircejskim,
Argos za Aminońskim, Korynt za Pirejskim.
Nie są zabezpieczone i te nawet rzeki,
Których nadbrzeża przestwór rozdziela daleki.
Dymią się wody Donu w samym środku fali.
Te, co śpiewem Meonią ożywiały w dali,
Płoną śnieżne łabędzie we wrzącym Kaistrze,
Tag złoto roztopione z wodą toczy bystrze.
I Nil trwogą przejęty porzucił koryto,
Skrył głowę i dotychczas jeszcze ma ukrytą;
Siedm łóż i ujść tyleż swej wody pozbawił.
Pożar Strymona z Hebrem suchymi zostawił,
Wysechł Ren, Pad i Rodan, i Tyber wspaniały,

Któremu władzę świata losy przeznaczały.
— Rozpęka ziemia, światło do piekieł się wciska,
Król podziemny nowego przeląkł się zjawiska.
Nawet morza ubywa, a co było morzem,
Teraz piaszczystych zaspów staje się przestworzem.
Góry wyszłe z wód łona łączą Cyklad koło.
Ryby aż w głąb uciekły, Delfiny wesoło
Nie śmią igrać nad wodą i kryją się na dnie.
Byki morskie na grzbietach pływają bezwładnie.
Sam Nerej niezwykłymi dotknięty pożary,
Z Corydą do najdalszej chroni się pieczary.
Neptun trzykroć prawicę z gniewliwem spojrzeniem
Wzniósł i trzykroć ją cofnął przed słońca płomieniem.
— Nawet ziemia, choć była morzem otoczoną,
Choć do niej, jak na wspólnej rodzicielki łono,
Ze wszystkich stron się zbiegły przerażone zdroje,
Jednakże i tak sucha, ręką czoło swoje
Zakrywa, z płodnem w niebo zwraca się wejrzeniem
I drżąc sama, świat cały przejmuje tem drżeniem,
I z spiekłych ust te słowa ledwie wyrzec może:
»Jeślim ci przewiniła, o najwyższy Boże!
Jeśli mi przeznaczyłeś zginąć od pożaru,
Weź piorun, śmierć z twej ręki przyjmę zamiast daru,
Tobą klęskę osłodzę. Racz spojrzeć, tchu nie mam,
Ledwie mówię, już dłużej ognia nie wytrzymam;
Z nieba skry i popioły w każdą lecą stronę,
Twarz mam spiekłą, dym w oczach i włosy spalone.
Taż nagroda za moją żyzność i usługi,
Że znoszę, iż mnie co rok ostre ranią pługi,
Że w liście i pastwiska opatruję bydła,
Że ludziom zboża rodzę, a bogom kadzidła?
Choćby mnie słusznie taka czekała zapłata,
Cóż wody winne? Jakaż zbrodnia twego brata?
Czemuż ubywa morze, jemu dane w rządy,

Oddalasz go od nieba i zwężasz mu lądy?
Jeśli na mnie i brata jesteś oburzony,
Miej litość nad twem niebem; patrz, na obie strony
Dym ogarnął bieguny, a gdy one spłoną,
I wy runiecie. Atlas z pracą niezmierzoną
Ledwie zdoła na barkach strzymać oś gorącą.
Gdy tak ognie świat, niebo i ocean zmącą,
Powróci dawne Chaos. Nie chciej świata karać;
Zgaś ogień i nieszczęściu, póki można, zaradź!«
Nie znosząc dłużej żaru, którym twarz jej spiekła,
Bez tchu tych słów ostatnich zaledwie dorzekła.
Wróciła sama w siebie ognia niecierpliwa
I w najbliższych Erebu górach się ukrywa.
— Bogów i dawcę wozu Jowisz czyniąc świadkiem,
Jak świat bez jego wsparcia groziłby upadkiem,
Na sam szczyt swego grodu idzie bez odwłoki,
Skąd rozciąga na ziemię chmury i obłoki,
Skąd straszne wstrząsa grzmoty, skąd pioruny ciska.
Lecz chmury ze zwykłego znikły stanowiska,
A deszczów brakło. Zagrzmiał, potężną prawicą
Piorun cisnął i razem strzaskał wóz z woźnicą,
Tak stłumił ogień ogniem niespożytej siły.
Przelękły się rumaki i wstecz odskoczyły,
Drą cugle, rwą zaprzęgi i na oślep bieżą,
Tu oś z dyszla strącona, tam wędzidła leżą,
Dalej piasty w ułamkach i koła strzaskane,
I różne szczątki wozu po niebie rozsiane.
Lecz Faeton, któremu ogniem włosy płoną,
Z wysokości, mijając przestrzeń niezmierzoną,
Leci, jako w noc jasną z nieba gwiazda blada,
Choć nie spadła, a przecież zdaje się, że spada.
Przyjmuje go daleki od ojczystej ziemi
Erydan i twarz spiekłą gasi wody swemi.
Hesperyjskie Najady ciało w grobie kryją,

A na żałobnym głazie taki napis ryją:
»Tu spoczywa Faeton, w niebo wniósł się śmiało,
Upadł, lecz w wielkiem dziele sam upadek chwałą«.
Ojciec twarz swoją zakrył w dotkliwem zmartwieniu;
I, jeśli damy wiarę wieków zapewnieniu,
Dzień przeminął bez słońca, pożary świeciły,
A tak nieszczęścia same użyteczne były.

7. NIENAWISC.

...Natychmiast idzie bogini,
Tam gdzie zazdrość w ohydnej mieszkała jaskini.
Pośród skał jest pieczara w najczarniejszej głębi,
Zawsze w niej ciemność włada, zawsze mróz ją ziębi;
Niezdrowa i ponura, wiatr jej nie przewiewa,
Słońce jej nie oświeca, ogień nie rozgrzewa.
Tu słynące mądrością i wojny pogromem
Przybywszy, bóstwo staje przed zazdrości domem;
Wejść nie chce, tylko w odrzwi końcem dzidy trąca.
Roztwarły się podwoje. Zazdrość czuwająca
Mięsem z wężów zatrutych jady swe podsyca.
To widząc odwraca się bogini dziewica.
Jędza wpół objedzone porzuciwszy żmije,
Patrzy, kto z taką siłą w jej pieczarę bije.
A gdy ujrzy boginię celującą wdziękiem,
Nikczemną swoją zawiść ciężkim zdradza jękiem.
Twarz ma bladą, jak chusta, jakby szkielet ciało,
Zęby czarne, spogląda zyzem i nieśmiało.
Żółć na pierś wystąpiła, a na język jady,
Z cudzych się tylko nieszczęść, z cudzej cieszy zdrady,
Snu nie zna, gdyż ją ciągle czujna troska budzi,
Jęczy, skoro spostrzega pomyślność u ludzi,
Zawsze widzi niewdzięcznych, narzeka przed światem,

Dręczy siebie i drugich i własnym jest katem.
Choć się nią brzydzi Pallas, wstręt przezwyciężała.
I krótko temi słowy do niej przemówiła:
»W Aglaurę twą truciznę przelej, tak potrzeba!«
I dzidą pchnąwszy ziemię, wróciła do nieba.
Jeszcze za odchodzącą patrzy zazdrość krzywo,
Szemrze i ciężko wzdycha, widząc ją szczęśliwą.
Podpiera się na kiju okrytym kolcami
I wychoozi czarnemi odziana chmurami.
Gdzie stąpi, siewy depce, kwiatów główki ścina.
Na jej widok zielona żółknieje dolina.
Jej tchnienie razi miasta i całe narody.
Aż nakoniec ujrzała Ateńczyków grody,
W nich nauki, bogactwa i przemysł jedyny.
Łzy leje, że nie widzi żadnej łez przyczyny.
Gdy do śpiącej Aglaury przyszła zazdrość blada,
Pełni rozkaz, dłoń zimną do łona przykłada,
I w pierś jej niespokojną ostre kolce wsuwa,
Szkodliwym jadem płuca i serce zatruwa
I po całem jej ciele truciznę rozdyma.

8. PEUTEUS.

Wjeżdża Bakchus w tryumfie, brzmią radosne głosy,
Biegną matki, mężowie, wodze, gminu rzesza,
I cały lud na święte obchody pospiesza.
»Jakaż wściekłość, Tebanie, rzekł odważny Pentej,
Przodkuje waszej myśli urokiem przejętej,
Dźwięk piszczałek, brzęk miedzi i gusła kuglarskie
Czyż zdołają pokonać Marsa plemię dziarskie?
Czyż tych, których wojenna trąba nie przestrasza,
Ani chmura pocisków, ani błysk pałasza,
Dziś huczny odgłos bębna, słabych niewiast krzyki,

Szał winny i nikczemne zmogą lubieżniki?
Hańba dla was! Wy, starce, wy Tyru wygnańce,
Co po trudach bez końca te wznieśliście szańce.
I wam hańba, młodzianie, rówiennicy moi!
Którym miecz trzymać w ręku, a nie tyrs przystoi.
Na czole nieść przyłbicę, a nie z bluszczów wieńce.
Na wasz ród i na chwałę pomnijcie młodzieńce!
Z kłów smoka pochodzicie, na wzór jego czyńcie,
On zginął przy swem źródle, wy przy chwale zgińcie,
On dzielnych przezwyciężył, wy gnuśnych rozpędźcie.
I dla sławy pradziadów waszych dni nie szczędźcie.
Gdy los chce Teb upadku, niech walą tarany,
Niech gród ogniem i mieczem legnie pokonany!
Nieszczęściem, nie podłością upadek odznaczmy,
Wzbudźmy litość, nie wzgardę i bez wstydu płaczmy.
Lecz dziś któż gromi Teby? Słaby jeden młodzian,
Ani konnicą groźny, ni zbroją przyodzian.
Włosy ma zlane mirrą, wianek z miękkich róży
A szkarłat złotem tkany za odzież mu służy.
Pójdę, schwytam kuglarza i zaraz wyjaśnię
Rodu jego i cudów wymyślone baśnie.
Czyż fałszywości bóstwa dowodów nie mamy?
Odważył się Akryzyusz zamknąć przed nim bramy.
Całe Argos jest świadkiem, jak wzgardził tułaczem,
Czy my jedni strwożeni zuchwalcy przebaczym?
Idźcie, rzekł do sług Pentej, bez zwłoki się sprawcie
I przywódcę tej zgrai w więzach mi przystawcie!«
I dziad i wuj Atamas wstrzymują Penteja,
Ale daremną była proszących nadzieja.
Owszem, coraz go bardziej jątrzyły ich prośby
I silniejszym wrzał gniewem i powiększał groźby.
Tak strumień, kiedy niema tamy i przeszkody,
Wolno i z lekkim szmerem toczy ciche wody,
Lecz gdy mu bieg wstrzymują drzew stosy lub skały,

Sroży się i z łoskotem pędzi zapieniały.
Wracają pokrwawieni. »Gdzież jest syn Semeli?«
Rzekł Penteus; słudzy ręczą, iż go nie widzieli.
Ale nam przecie w ręce wpadł jeden wichrzyciel,
Oto jest ten Tyryntczyk, ten Bakchusa czciciel,
Ten mniemanego boga obchody czyniący.
— Zmierzywszy go wejrzeniem, Penteus gniewem wrzący,
Ledwie zemstę wstrzymuje, ledwie karę zwleka.
I rzekł: »Na przykład innym sroga śmierć cię czeka,
Potępieńcze! Odpowiedz, kim jesteś? Skąd rodem?
I jakim się z Bakchusem złączyłeś powodem?«
Bez trwogi rzekł mu więzień: »Acetes się zowię,
W Meonii żyli moi w ubóstwie przodkowie.
Nie zostawił mi ojciec wołów, ni zagrody,
Ani stad, ani owiec, ani innej trzody.
Nie był wcale bogatym. W sieci i więcierze
I na zwodnicze wędki skoczne ryby bierze.
Skarb cały miał w swej sztuce; gdy mnie do niej wprawił,
Mnie, następcy swojemu przed zgonem zostawił
Wędki, sieci i wody w liczne ryby żyzne:
Tę jedyną po ojcu objąłem spuściznę.
Nie chcęc przez całe życie jednych skał pilnować,
Nauczyłem się sterem okrętu kierować;
Poznałem dżdżystą gwiazdę olenijskiej kozy
Tajgetę i Hijady i obydwa Wozy.
I wiatry i dogodne nawom stanowisko.
Raz gdy płynąc do Delos, byłem Cei blizko,
Każę kotwicę majtkom zarzucić ochotnym
I z innymi na piasku wysiadam wilgotnym.
Noc przeszła. Gdy dnia promień zabłysnął jaskrawy,
W świeżą wodę opatrzyć rozkazuję nawy.
Jedni idą do zdrojów. Ja ze szczytu góry
Patrzę, co mi zwiastują i wiatry i chmury;
A wracając na okręt towarzyszy wzywam.

Najpierwszy z nich Ofeltes zawołał: »Przybywam«.
Za nim inni w tryumfie, jakby zdobycz wiodą,
Chłopczyka ozdobnego dziewiczą urodą.
Snem i winem zmożony za nimi się taczał,
Lecz go ubiór i postać, i chód tak odznaczał,
I coś w nim tak czarowną zajmowało siłą,
Żem widział, iż to dziecię śmiertelnem nie było.
Rzekłem do towarzyszy: »Przebóg! Co czynicie?
Nie wiem, jakiem, lecz pewnie bożkiem jest to dziecię.
Ktokolwiek jesteś, witaj, w pracy nam pomagaj,
I przebacz niewiadomym!« — »Ty za nas nie błagaj«,
Rzekł Dyktys, najzwinniejszy, czy się piąć na żagle,
Czy, gdy z wierzchołka masztu przyjdzie skoczyć nagle.
Libis i Melant, przodkiem okrętu władnący,
I Epopej swym śpiewem ruch wiosłom dający,
I Alcymedon chwalą Dyktysa wyrazy.
Tak chciwość ich do boskiej podnieca obrazy.
»Ja tu mam pierwsze«, rzekłem, »rozkazania prawo,
Nie dam popełnić gwałtu«. I staję przed nawą.
Z wściekłością wpada na mnie Likabas zuchwały,
Z Etruryi go za zbrodnie prawa wywołały.
Ten gdy kościstą pięścią w skronie mnie uderzył,
Byłbym przepaści morskie niezawodnie zmierzył,
Szczęściem padłem na linę odurzony ciosem.
Poklaskują majtkowie jednomyślnym głosem.
Bakchus, bo był nim więzień, na gwar tylu ludzi
Odzyskuje przytomność i ze snu się budzi.
»Gdzie jestem? Co za wrzawa?« zapytuje dziecię,
»Któż mnie do was sprowadził? Gdzie mię uwozicie?«
»Złóż bojaźń, rzecze Ofelt, jesteś między twymi,
Wskaż nam port, wysiądziemy na wskazanej ziemi«.
»Obróćcie się ku Naxos, tam waszą uczynność
Szczodra, odrzekł im Bakchus, nagrodzi gościnność«.
Bezwstydnem mu na wierność poprzysięgli czołem,

A podłą knuli zdradę; ja żagle rozpiąłem.
Naxos był z prawej strony, więc płynę na prawo.
»Co za szał cię ogarnął? Gdzie sterujesz nawą?
W lewo płyń,« rzecze Ofelt. — Potakują wszyscy,
Dalecy znaki dają, w ucho szepcą blizcy.
»Niech inny, zawołałem, w miejscu mojem siądzie,
Nie chcę wiedzieć o zbrodni i okrętu rządzie«.
Powstaje na mnie wrzawa burzliwej młodzieży:
»Czyż nasze bezpieczeństwo od ciebie zależy?«
Rzekł Etaljon szydersko; silnie ster porywa
I zaraz w sprzeczną stronę od Naxos odpływa.
Bożek, jakby dopiero dociekał ich zdrady,
Patrzy z nawy na morze, a drżący i blady,
Prawie ze łzami mówi: »Nie w te chciałem strony,
I nie ten brzeg, majtkowie, był mi upragniony.
Cóżem wam winien? Jakąż odniesiecie chwałę,
Gdy wszyscy oszukacie jedno dziecię małe?«
Płakał, lecz się litością serca nie uniosły,
Owszem, prędzej po morzu zamiatali wiosły.
Tu powiem rzecz prawdziwą, choć wierzyć w nią trudno.
Niech ten bóg, który mową pogardza obłudną,
Skarci mnie, jeśli zmyślam. — W pędzie swego biegu
Stanął okręt, jak gdyby na piaszczystym brzegu.
Majtki żagle wzdymają, wiosłem biją żwawo,
I siły podwoiwszy, chcą kierować nawą.
Wtem bluszcz wiosła okręca, i w górę się wije,
I żagle same ściąga i maszt cały kryje.
Bakchus, mając koronę z winogron uwitą
Bije dzidą w liść winny dokoła okrytą.
Przy nim dziki ostrowidz i tygrys zażarty,
I w pstre centki pokryte zaległy lamparty.
Na ten widok, czy trwogą, czy urokiem zdjęty,
Każdy z majtków w bezdenne rzuca się odmęty
Pierwszy Medon kształt traci. Na zmienionem ciele

Twarda łuska i giętkie wyrastają skrzele.
»W jakież dziwo się zmieniasz?« Likabas zawołał,
Lecz zaledwie tych kilka słów wymówić zdołał,
Twarz jego się rozszerza, a skóra stwardniała
Wkoło połyskującą łuską się odziała.
Libis, gdy chce sprzecznemi kierować wiosłami,
Niknące jego dłonie stają się skrzelami..
Drugi, gdy chce się sunąć po skręconej linie,
Rąk nie ma, spada z góry i po morzu płynie,
Bijąc o wodę skręconym w półkole ogonem,
Odznacza ślad po sobie na morzu spienionem.
Tym sposobem majtkowie w delfinów zmienieni,
Pluskają się i skaczą po wodnej przestrzeni.
Raz się do dna zanurzą, znowu wypływają,
I zaczerpniętą wodę nozdrzami rzucają,
Igrając przy okręcie swem lubieżnem ciałem.
Z dwudziestu towarzyszy sam jeden zostałem.
Strwożonemu łagodną bóg pociechę niesie:
»Rzuć trwogę, rzekł, do Naxos płyńmy Acetesie!«
Zaledwie tam przybyłem, szczęściem niespodzianem,
Bakchus mię raczył swoim mianować kapłanem«.
— »Milczałem, gdyś mi zmyślił niedorzeczną powieść,
Rzekł Penteus, lecz dziś trzeba prawdy jawnie dowieść.
Porwijcie go i karą zbrodnie równającą
Dręczcie. Piekielne męki niech go w piekło wtrącą!«
Słudzy biorą kapłana Bakchusa tajemnic
I okutego w więzy wtrącają do ciemnic,
A pełniąc, co okrutny przykazał im sędzia,
Sposobią miecz i stosy i śmierci narzędzia.
Nagle drzwi się otwarły i spadły kajdany
I wyszedł sam z więzienia kapłan niepoznany.
— Nie przestał na tem Pentej. Już sługom nie każe,
Lecz sam idzie, gdzie stały Bakchusa ołtarze,
Na góry Cyteronu, gdzie bijąc w niebiosy,

Rozlegały się hucznie Bakchantek odgłosy.
Jak, gdy z daleka trąbę wojenną usłyszy,
Drży rumak niecierpliwy i za wojną dyszy:
Tak słysząc, jak się w koło krzyki rozlegały,
Zawrzał ognisty Penteus nowymi zapały.
W połowie Cyteronu, w dość obszernem kole,
Gęsta knieja otacza niezarosłe pole.
W to miejsce, gdy go zgubna przywiodła pokusa,
Gdy chciał śledzić tajemne pochody Bakchusa,
Pierwsza widzi go matka winnym zdjęta szałem
I tyrsem w syna swego uderza z zapałem.
»Do mnie tu siostry, do mnie, szalona wykrzyka,
»Dzik niszczy nam winnice, uderzmy na dzika!«
Zbiegły się do niej wszystkie, gdy słowa te rzekła,
A za niemi pospiesza cała zgraja wściekła.
Wszystkie razem Bakchantki na jednego wpadły;
Już żałował swej winy, już drżący i zbladły:
»Zaklinam cię, zawołał, na cień Akteona,
Ratuj mnie Autonoe, ciotko ulubiona!«
Czem był jej syn Akteon, już Bakchantka nie wie,
I prawicę Peuteusa rwie w szalonym gniewie;
Druga ciotka rwie lewą. Już go ból przemagał,
Chciał wznieść pokorne ręce, by matkę przebłagał,
Rąk nie ma. Martwy kadłub stoi przed Agawą;
Ona z wściekłym zapędem, z radosną postawą
I włosem rozczochranym, zemsty niecierpliwa,
Wśród wycia głowę syna od karku odrywa.
»Cieszcie się, siostry, rzekła, już zwyciężyłyście«.
Nie tak nagle w jesieni powarzone liście
Mroźny wicher z drzew zdziera, jak wściekłość zuchwała,
Nieszczęśliwego męża członki rozszarpała.

9. CORKI MINYASA.

Po przestrodze Tebanki dzielą tajemnice,
Ofiary i kadzidła niosąc przed świątnice.
Nie chcąc przyznać, że Bakchus jest Jowisza synem,
Własnym od świąt odwodzi Alcytoe czynem.
Równa niezbożność w wszystkich córkach Minyasza.
W tem kapłan nowe święta Tebankom ogłasza;
Każe paniom i sługom ich prace porzucić,
Piersi kryć skórą zwierząt, włos wdzięcznie rozrzucić,
Spieszyć z wieńcem i tyrsem przed bóstwa ołtarze,
I grozi, że przestępnych srogo Bakchus skarze.
Idą matki, dziewice, każda z świąt radosna
Kądzieli odstępuje i porzuca krosna.
Palą wonie, wzywają Bakchusa, Lyea,
Bromiusza, Ognioroda, dwurodcę Nizea;
Pięknowłosym go zowią jedni Tyonejem,
Drudzy winne jagody tłoczącym Lenejem.
Dają mu imię Jakcha, Ewana, Niktela,
I ojca Eleleja i dawcy wesela,
I wszystkie te imiona, jakie greckie grody
Nadały tobie bożku! Tyś jest wiecznie młody,
Tyś najpiękniejszym między wszechmocnymi bogi.
Masz wdzięk dziewicy, złote gdy odejmiesz rogi.
Zwycięzco! Tyś wschód zgromił, tyś stanął u kresu,
Gdzie Indyą rzeźwią wody bystrego Gangesu,
Skarciłeś Penteusa i Likurga winy,
I chytrych Tyrynczyków zmieniłeś w delfiny,
Kierujesz ich pobiegiem przez wędzidła stalne,
Gdy wprzągłeś ostrowidze w wozy tryumfalne.
Satyry spieszą z tobą i starzec opiły,
Co laską wspiera nogi i mdłe wspiera siły,
I nie krzepko na słabym trzyma się osiełku;
Gdzie stąpisz, pełno wszędzie radosnego zgiełku.

Brzmią Bakchantek odgłosy, tyrsy w ręku błyszczą,
Huczą bębny i kotły i piszczałki świszczą.
»Witaj, pokoju dawco! Przyjm łaskawie dary!«
Śpiewają Ismenidy przynosząc ofiary.
Lecz córki Minyasza dnia tego nie święcą,
A Minerwą zajęte, jedne wątek kręcą,
Drugie postawy snują, inne tkają płótno,
A każda gna do pracy sługę swoją smutną.
Gdy niewidzialne bębny z hukiem się ozwały
I nagle krzywe trąbki chrapliwie zagrzmiały.
Grzmią kotły i wonieją mirry i szafrany.
O cuda niepojęte! Postaw już utkany
Zieleni się i nici prawie oczywiście
W winogradowe różczki przechodzą i liście.
Tło nieznacznie w latorośl, w jagody się zmienia,
A szkarłat swoim blaskiem grona przyrumienia.
Już i dzień dogorywał i ten czas nastawał,
Co się ani ciemnością, ani światłem zdawał,
Ale wątpliwą światła i cienia granicą:
Wtem wstrząsają się ściany i pochodnie świecą
I płomyki jaskrawe cały dom ich kryją,
A dzikich zwierząt widma przeraźliwie wyją.
Po dymiących się izbach siostry przelęknione
Przed ogniem i płomieniem chcą znaleźć ochronę;
A gdy cienia szukają, lekkie tylko błonki
I szczupłe nader pierze pokryło ich członki.
Lecz jak się dokonała ta cudowna zmiana,
Nie dała tego widzieć ciemność nieprzejrzana.
Piór na sobie nie mają, kształt ich jest obrzydły,
Ale mogą ulatać przejrzystemi skrzydły.
Cienkie im tylko ciało zostaje po zmianie,
Cienkim głosem tłumaczą swoje narzekanie.
Każda kryje się w strzechach, przed światłem się strzeże,
Ze zmianą tracą imię, zwą się nietoperze.

3*

10. PERZEUS I ATLAS.

A Perzeusz zgromiwszy potwór wężowłosy,
Właśnie na szumnych skrzydłach wzbił się pod niebiosy,
A nad piaski libijskie z swym łupem wzniesiony.
Upuścił kilka kropel krwi z głowy Gorgony,
Które spadłszy na ziemię zmieniły się w węże,
I odtąd to w tych stronach plemię żmij się lęże.
Stąd po niebie od wiatrów niezgodnych pędzony
Leci, jak dżdżysty obłok, w te i owe strony.
Z szczytu niebios przegląda różne części świata,
I cały w krótkiej chwili krąg ziemski przelata.
Trzykroć widział wóz mroźny i raka nożyce
To w wschodnie, to w zachodnie gnany okolice.
Gdy dzień zgasł, baczny na to, by w nocy nie błądził,
Wstąpił w kraj hesperyjski, kędy Atlas rządził.
Uprasza o gościnność do chwili, aż z morza
Wenus Zorzy, a słońca nie wywabi Zorza.
Tu, przechodzący wzrostem cały ród śmiertelny,
Panował olbrzym Atlas, syn Japeta dzielny.
Hołduje mu brzeg świata i te morskie tonie,
Gdzie słońce w nocy pławi unużone konie.
Błąkały się po łąkach niezliczone stada
I żadnego to państwo nie znało sąsiada.
Od promiennego złota drzew liście blask niosły
I na złotych gałęziach złote jabłka rosły.
»Jeśli wielkość na rodu piękności stanowisz,
Wiedz królu, rzecze Perzeus, iż mym ojcem Jowisz.
Jeśli żądasz dzieł wielkich, nad memi się zdumiej,
I zwycięzcę Gorgony godnie przyjąć umiej«.
Rzekł. Lecz Atlas był pomny wróżby w dawnym czasie
W tych słowach objawionej: »Przyjdzie czas Atlasie,
Że syn Jowisza zerwie złoto z twego drzewa!«
Gdy się tej przepowiedni lęka i spodziewa,

Murem ogród otacza, smoka w bramie kładzie
I wzbrania cudzoziemcom wejścia ku posadzie.
»Precz stąd, rzekł do Perzeja, bo już żądzą płonę
Przekonania, że ród twój i dzieła zmyślone!«
Groźby popiera siłą, z domu go wypędza;
Słów słodkich, wreszcie groźnych Perzeus nie oszczędza,
Lecz słabszy, bo któż mógłby Atlasowi sprostać?
»Gdy nie mogę od ciebie gościnności dostać,
Przyjm ten dar!« Rzekł i w lewą stronę odwrócony
Wskazuje mu twarz zgubną ohydnej Gorgony.
Atlas zostaje górą: z włosów las wysoki,
Z kości skały, z rąk, z barek powstały gór boki;
Co dawniej głową było, jest dziś góry szczytem,
I, jak w księdze przeznaczeń miało być wyrytem,
Nabrzmiał, rozrósł się Atlas w dalekie przestrzenie,
A dziś spoczywa na nim całe gwiazd sklepienie.

11. PERZEUS I ANDROMEDA.

Za swej matki zuchwałość z rozkazów Ammona
Już była Andromeda na śmierć przeznaczona.
Perzej, widząc przykutą ciężkiemi okowy,
Mógłby myśleć, iż widzi posąg marmurowy.
Płonie, tak go zajmuje dziewicy ponęta,
Iż ledwie bić skrzydłami w powietrzu pamięta.
»O nie tych godna więzów, z zapałem jej powie,
Lecz którymi się wzajem łączą kochankowie!
Nie taj mi twej ojczyzny i twego nazwiska
I czemu to żelazo dłoń twoją uciska?«
Milczała, nie śmiąc przyzwać pomocy młodziana,
Twarz zakryłaby ręką, ale jest związana.
Jednak się z pięknych oczu łzy puściły rzewne.
Lecz, gdy bardziej nalegał Perzej na królewnę,

Nie chcąc, aby się winy domyślał z milczenia,
Andromeda mu imię i kraj swój wymienia;
Wyjawiając ze łzami, przez jakie wypadki
Jest znaglona dać życie za przechwalstwo matki.
Gdy to mówi, grzmi fala, straszny potwór z morza
Wyziera, tłocząc piersią rozległe przestworza.
Krzyknęła. Biegnie ojciec i matka strwożona,
Oboje nieszczęśliwi, ale słuszniej ona.
Nie przynoszą pomocy, lecz nad swą nadzieją,
Jęcząc przy zgubnym słupie, czcze tylko łzy leją.
Wtem przed nimi Perzeus tak ogłasza zdanie:
»Na pomoc chwile krótkie, na łzy czas zostanie.
Perzeus wężowskiej zwycięzca Gorgony,
Śmiało na lekkich skrzydłach w powietrzu wzniesiony,
Gdybym ja zięciem waszym zapragnął być kiedy,
Czyżbyście mi nie dali ręki Andromedy?
Nowe dziś zyskam prawo, lecz miejcie na względzie,
Że męstwem pozyskana, męstwa wieńcem będzie«.
Rodzice, któżby wątpił, przystają z rozkoszą
I jeszcze mu w posagu własny tron przynoszą.
— Jak okręt rozpędzony sprzeczne porze wody,
Gdy na nim w pocie czoła lud pracuje młody,
Tak morski potwór piersią rozpychając wały,
Płynął i tak był blizkim nieszczęśliwej skały,
Jak może dosiądz z procy ołowiane brzemię;
Kiedy nagle bohater, stopą pchnąwszy ziemię
Z zapędem wzbił się w chmury. Na morzu cień męża,
Widząc potwór, w to miejsce siły swe natęża.
Jak, gdy lśniącego smoka ptak Jowisza zoczy,
Kiedy przed ciepłem słońca swe łuski roztoczy,
Nie chcąc, aby mu żądłem szkodził odwrócony,
Znienacka w kark łuszczysty ostre wciska szpony,
Tak czcze powietrze w spiesznym przerzynając locie,

Perzej na potwór wpada i w rączym obrocie
Aż po samą rękojeść ostrze miecza wpaja.
Jak odyniec, gdy zewsząd szarpie go psów zgraja,
Tak się rozjusza potwór żelazem dotknięty;
To rzuca się, to w morskie zapada odmęty.
Perzej przed chciwą paszczą na skrzydłach ucieka,
Gdzie tylko miejsce wolne spostrzeże z daleka,
To w bok, to w rybi ogon, to w skrzelistą szyję,
To w grzbiet łuską pokryty krzywym mieczem bije.
Potwór wyziewa z paszczy z krwią zmieszane wały.
Nagle skrzydła Perzeja wodą ociężały,
Nie śmie ufać im dłużej. Dostrzega opoki
Widocznej, gdy ucichnie ocean szeroki,
Zakrytej, kiedy morskie igrają bałwany.
Staje na niej bohater i miecz krwią zbryzgany,
Trzykroć topi w potworze. Natychmiast z nad brzega
Bijąc w niebo, radosny odgłos się rozlega.
Cefej i Kassyope wita szczęścia dawcę,
Zięcia, domu podporę, Andromedy zbawcę.
Do oswobodziciela biegnie piękność młoda,
Ona, i powód walki i walki nagroda.
Sam Perzej wodę czerpie, dłoń zwycięzką zmywa,
Twardy piasek miękkiemi ziołami pokrywa
I rozściela rośliny, znalezione w morzu;
Poczem głowę Meduzy na tem kładzie łożu,
Nie chcąc, by się na gołej zeszpeciła ziemi.
Zywa jeszcze roślina z korzonki świeżymi
Z wężowłosej potwory czarów siłą tajną,
Przejmuje w liść i prątki twardość nadzwyczajną.
— Trzem bóstwom trzy Perzeus ołtarze zakłada,
Po lewej ma Merkury, po prawej Pallada,
W środku Jowisz. Zabiwszy byka Merkuremu,
Ciołkę Minerwie, wołu bogu najwyższemu,

Bierze piękną królewnę, swe najdroższe myto
I bez posagu męstwa nagrodę sowitą.
Idą za niemi Himen z miłością, z rozkoszą,
Tumany wonnych dymów w powietrze się wznoszą.
Wieńce wiszą po ścianach. Radości podniety
I oznaki wesela, liry, lutnie, flety.
Łączą do hożych pieśni słodkie brzmienia swoje,
Roztwarły się złociste na roścież podwoje,
Cały orszak królewski schodzi się wesoły
Do zamku na przepysznie zastawione stoły.

12. PORWANIE PROSERPINY.

Jest rozległe jezioro przy Hennejskim grodzie,
Dano mu imię Pergus. Ni w Kaistru wodzie
Nigdy śnieżnych łabędzi więcej nie liczono.
Las uwieńcza te wody i jakby zasłoną,
Liśćmi swymi od słońca strzeże je dokoła.
Gałęzie chłód wydają, ziemia wonne zioła:
Wieczna wiosna panuje. W tym gaju szczęśliwa
Proserpina, gdy lilie i fiołki zrywa,
Gdy spiesznie rzuca kwiatki w łono i koszyczki,
Chcąc prześcignąć zbieraniem swoje rówieśniczki,
Pluto ledwie ujrzawszy kocha i porywa,
Tak nagle w jego sercu wre miłość burzliwa.
Przelękniona dziewica, ile tylko zdoła,
Towarzyszek i matki, matki częściej woła.
A gdy z żalu na sobie własne darła szaty,
Rozsypały się z poły nazbierane kwiaty.
Dziewczę w dziecinnym wieku tę miała prostotę,
Że z tak błahej utraty uczuła tęsknotę.
Porywca wóz kieruje ku piekielnej stronie,
Po imieniu wołane podżegając konie.

A po szyjach, po grzywach zardzewiałe wodze
Wstrząsa i pędzi w miejsca nieprzystępne drodze,
Przez bagna i przez sławny dymy siarkowymi
Zdrój Palików z rozpadłej wydobyty ziemi,
Aż tam gdzie dwumorskiego Koryntu mieszkańce
Wśród dwóch nierównych portów usypali szańce.
— Jest między Aretuzą i Cyany stokiem
Odnoga morska łożem ujęta wysokiem.
Tu, od której jezioro dostąpiło miana,
Mieszka z Nimf najsławniejsza sykulskich, Cyana;
Ta napół z wód wyszedłszy widząc boga, rzekła:
»Nie śmiej postąpić dalej! Stój wszechwładco piekła!
Ty Cererze niechętnej nie możesz być zięciem;
Prośbą ją zyskać było, nie gwałtownem wzięciem.
Mogęż się równać? I mnie Anapis polubił,
A przecież ubłaganą, nie zlękłą zaślubił«.
Rzekła, wyciąga ręce, chce mu wzbronić drogi.
Na te słowa w Saturna synu gniew wre srogi,
Popędza straszne konie, dziką złością zdjęty
I berło swoje ciska w najgłębsze odmęty.
Natychmiast aż do piekieł ziemia się otwarła
I wóz pędem lecący w przepaściach pożarła.
— Los bóstwa, wód zniewaga rozżala Cyanę,
Długo nosi tajemnie niezgojoną ranę,
W łzach niknie i w te wody rozpływa się cała,
Których wprzód opiekuńczą boginią się zwała.
Widziałbyś, jak jej twarde giąć się jęły kości,
Mięknąć członki, paznogcie pozbywać twardości.
Rozciekły zaraz w wodę najwątlejsze cząstki,
Oczy, powieki, włosy, palce, ciało, chrząstki,
Dalej piersi, grzbiet boki i barki rzedniały
I sącząc się powoli w strumień się rozlały.
Z żył krew znika i wodzie wolne miejsce daje,
Czegoby dotknąć można, już nic nie zostaje.

— Jakie bogini morza przebyła i kraje,
Długo mówić. Sledzącej świata nie dostaje.
Powraca do Sykanii. Tam gdyby nie zmiana,
Wszystkoby jej życzliwa odkryła Cyana:
Chcącej mówić na ustach i na głosie zbywa
I nie ma czem wyjawić prawdy nieszczęśliwa.
Znak przecie jawny daje i znaną od matki,
A w zdroju przez przypadek upuszczoną rzadki,
Proserpiny przepaskę nad wody zjawiła.
Ceres, jakby dopiero córkę utraciła,
Widząc tę jej przepaskę, drze włosy w rozpaczy
I silnem piersi biciem boleść swą tłumaczy.
W niepewności, na wszystkie użala się kraje,
Niewdzięcznym chce za karę odjąć urodzaje.
Najbardziej ją oburza kraj przedtem jej luby,
Sykania, gdzie znalazła pewny ślad swej zguby.
Tam skibowalne pługi srogą kruszy ręką,
Tam oraczów i woły jedną niszczy męką.
Każe polom zawodzić, truje płodność w ziarnie.
Sławna z żyzności ziemia odpoczywa marnie:
Niknie siew ledwie zeszły i zielony jeszcze,
To go zbytni skwar gubi, to zbyteczne deszcze;
To jest wichrów, to gradów, to nawałnic pastwą,
A rozsypane ziarno chciwie zbiera ptactwo.
Pyrz niewykorzeniony, osty i kąkole,
Tłumiąc pszenne posiewy, zarażają pole.
Wtem wstając z wód Elejskich i włos mokry z czoła
Zebrawszy Aretuza, tak do bóstwa woła:
»O ty! po całym świecie szukanej dziewicy
I zbóż matko! Zaniechaj trudów i tęsknicy.
Wiernej i wdzięcznej tobie przestań ziemi szkodzić,
Nic nie winna, porwaniu nie mogła przeszkodzić.
Nie za ojczyzną błagam, jak gość im przychodzę;
Ojczyzną moją Piza, w Elidzie się rodzę.

I tylko ja w Sykanii, jak pielgrzymka staję,
Lecz ta ziemia nad wszystkie droższą mi jest kraje.
Tu mam domowe bogi, tu najmilej bawię,
Nową moją siedzibę zachowaj łaskawie!
Czemu z dawnej ojczyzny przez dalekie morze
Aż tu przyszłam, opowiem w sposobniejszej porze,
Gdy twoje znikną troski i smutek przeminie.
Mnie ziemia przejścia daje; przez ziemne jaskinie
Tu wyszedłszy spoglądam na odwykłe gwiazdy.
Gdy Styksem wśród podziemnej przepływałam jazdy,
Dojrzałam własnem okiem twojej Proserpiny:
Jest smutną, lecz królową ponurej krainy,
Lecz błyszczącą w pieczarach najpierwszą koroną,
Lecz wszechmocną monarchy piekielnego żoną«.
— Usłyszawszy te słowa, matka osłupiała,
Długo stała zdumiona, jakby niema skała.
A z smutku i wściekłości pospiesza w niebiosy
I z zachmurzoną twarzą, z rozpierzchłymi włosy,
Tak mówi do Jowisza: »Matka nieszczęśliwa
Za swoją krwią i twoją błagać cię przybywa.
Jam z łask wyszła, lecz ojca niechaj wzruszy dziecię
I nie karz go dlatego, że mnie winne życie.
Oto znalazłam córkę szukaną z cierpieniem,
Jeśli pewniejszą zgubę nazwiesz znalezieniem,
Jeśli jest znalezieniem posłyszenie o niej.
Wziął, przebaczę, lecz niech jej powrotu nie broni,
Bo czyż zbójca jest godzien tykać córkę twoją
Za żonę, gdy już ona nie jest córką moją«.
»Wspólnie mamy, rzekł Jowisz, o dziecię staranie.
Lecz dając rzeczy każdej prawdziwe nazwanie,
Nie gwałt, lecz miłość widzę w tym Plutona czynie.
Zięć taki będzie chlubą nam i Proserpinie.
Zezwól, choćby nic nie miał, jest Jowisza bratem!
Czyliż nie dość tej chwały? Włada trzecim światem;

Mnie losem tylko uległ. Lecz gdy dręczy ciebie
Chęć rozwodu, niech stanie Proserpina w niebie;
Zezwalam, byle w piekłach nie tknęła potrawy,
Bo takie są niezmienne srogich Park ustawy«.
— Rzekł. Już powrotu córki Ceres pewną była,
Lecz nie tak chcą wyroki, córka post zgwałciła.
Gdy bowiem po przepysznym błąka się ogrodzie,
Z nizkiego drzewa granat zerwała w przechodzie,
I siedm jąder wyssała. Z podziemnej krainy
Mieszkańców widział tylko ten czyn Proserpiny
Askalaf, który ród swój od Orfny wywodził;
Widział i wyjście z piekieł osławą zagrodził.
Ciężki smutek przejmuje Erebu królowę,
Więc flegetońską wodą skrapia świadka głowę;
Zaraz dziób ostry, pierze i z żółtemi skrzydły
Oczy dostał ogromne ten potwór obrzydły.
Nabrzmiała głowa, długie wyrosły mu szpony,
Ledwie wzbija się w górę swą wagą tłoczony.
Powstaje ptak szkaradny, żałością przenika
Szpetny puhacz, okropny wieszcz dla śmiertelnika.
— On wziął karę za swoją osławę zbrodniczą:
Lecz skąd wy, Achelojdy, mając twarz dziewiczą,
Zyskałyście od ptaków skrzydła nieodmienne?
Gdy Proserpina kwiaty zbierała wiosenne,
Wtedy miłe Syreny z nią się znajdowały,
A przebiegłszy już za nią świata okrąg cały,
Chcąc i morza trosk swoich uczynić świadkami,
Pragnęły się na skrzydłach unieść nad wodami.
Przystały bogi. Pierze ciało ich pokryło.
By jednak śpiew czarowną zajmujący siłą,
Ten ich dar niepojęty mógł im zawsze zostać,
Zachowały głos ludzki i dziewiczą postać.
— Między bratem, a siostrą sędzia polubowny,
Jowisz z roku całego robi podział równy,

A Proserpina dwóch państw królowa szczęśliwa
Sześć miesięcy raz, z matką, raz z mężem przebywa.
Zaraz twarz jej jest inna i myśl jest zmieniona:
A czoło, co pochmurnem było dla Plutona,
Zajaśniało, jak słońce, kiedy chmury dżdżyste
Niknąc pokryją niebo pogodne i czyste.

13. PRZEMIANA ARACHNY W PAJĄKA.

Przemyśla o Arachnie, co w sztuce przędzenia,
Jej wyższego nie chciała przyznać uwielbienia.
Nie miejscem, ani przodków pochodzeniem wzniosłem,
Własnem tylko Arachne słynęła rzemiosłem.
Ojciec Idmon zrodzony w kolofońskiej ziemi
Cienką wełnę szkarłaty barwił focejskiemi.
Wziął żonę także z gminu; lecz praca wytrwała
Sławne w Meonach imię Arachnie zjednała.
Choć żyła w nędznej chatce i ubogiej włości,
By widzieć dzieła godne pochwał i zazdrości,
Odstępowały Nimfy górnych winnic Tmolu,
Odstępowały Nimfy nadbrzeży Paktolu.
Nie tylko nad jej pracą wszyscy się unoszą,
Lecz patrzeć na robiącą, już było rozkoszą.
Czyli surową wełnę na kądziel zasadza,
Czy palcami pomyka i runa rozgładza
Tak, iż można z mgłą równać przędzę rozciągnioną,
Czy zręcznym palcem wartkie zakręca wrzeciono,
Czyli maluje igłą, patrząc na jej dzieła,
Myślałbyś, że ją sama Minerwa natchnęła.
Przeczy temu i rzecze wstydząc się mistrzyni:
»Gdy mię zwalczy niech ze mną wedle woli czyni«.
Pallas zmienia się w babę: włos siwy przybiera
I osłabione siły na kiju podpiera,

Tak zaś mówi Arachnie: »Sławna sztuką rzadką,
Słuchaj Arachne, starość doświadczenia matką,
Nie gardź poradą moją! Ciesz się, jak chcesz, chwałą,
Iż w przędzenia nauce jesteś doskonałą,
Ale ustąp bogini i proś niech przebaczy
Przechwalstwo, a z pewnością wysłuchać cię raczy.
Błysnęła gniewnem okiem Arachne rozjadła;
Zaledwie się wstrzymuje, nić jej z rąk wypadła
I tak w złości bez granic karci babę starą:
»Długich lat, a krótkiego rozumu poczwaro!
Jak widzę, żyłaś nadto. Dla jakiej sąsiady,
Albo dla córki schowaj twoje głupie rady.
Wiem ja dobrze, co czynię. Czcze są słowa twoje,
Nic nie zyskasz, ja silnie przy mem zdaniu stoję.
Czemu sama nie przyszła, gdy śmie walczyć ze mną?«
»Przyszła«, rzekła bogini. Postać nieprzyjemną
Staruszki zarzuciwszy, staje, jak Pallada;
Grono nif zgromadzonych bóstwu pokłon składa.
Nie zlękła się Arachna. Czerwoność niezwykła
Twarz jej wprawdzie okryła, ale zaraz znikła.
Tak zorza na powietrze żywy szkarłat sieje,
Lecz blednieje, gdy tylko słońce żajaśnieje.
Dziewica trwa w uporze; oślepia ją pycha,
A na własną ją zgubę zuchwalstwo popycha.
Bogini do jej życzeń natychmiast się skłania,
Już jej nie napomina, ni zwleka wyzwania.
Obie bez zwłoki prace zaczynają nowe
I cienką rozciągają na krosna osnowę.
Wał ramę spaja, grzebień osnowę przeplata,
Wątek w ostrem czółenku samym środkiem lata.
Przez rozdzielone nici zręczna dłoń go ciska,
A karbowana płocha gęsto tkanie ściska.
Zdjęły szaty, uczona zaczęła się praca,
Spieszą się, a gorliwość robotę im skraca.

Tkają nici tyryjskim napuszczone sokiem
I nadają odcienia niedostrzegłe okiem.
Tak, gdy o dżdżystą chmurę słońce się odbije,
I niezmierzonym łukiem niebiosa pokryje,
W nim choć jaśnieją różnych kolorów tysiące,
Lecz przejście jednych w drugie, tak oko patrzące
Zwodzi, że się przy sobie jednakowe zdają,
A dopiero nadbrzeżne różnice zdradzają.
Gdzieniegdzie między nici każda złoto wszyła
I na płótnie dzieł dawnych wspomnienie wskrzesiła.
— Obok zamku Cekropsa pagórek Gradywa
I sławny spór z Neptunem Minerwa wyszywa,
Gdy szło, kto miał nowemu nadać imię miastu.
Na tronie siedzi Jowisz wśród bogów dwunastu.
Każdy ma twarz właściwą: król bogów wspaniałą,
Bóg morza długi trójząb podnosi nad skałą;
Wyskakuje koń dzielny z opoki strzaskanej
I Neptun już się zdaje być pewnym wygranej.
Siebie maluje Pallas z puklerzem i dzidą,
Czoło zdobi przyłbicą a piersi Egidą
Pociskiem w ziemię trąca. Po krótkiej przewłoce
Wyrasta krzak, oliwne dający owoce.
Przyznaje jej zwycięstwo bogów podziwienie.
— Arachne siostry Kadma porwanie wyszywa;
Myślałbyś, że byk istny, że woda prawdziwa.
Europa ku niknącej obrócona ziemi,
Z żalem z towarzyszkami zda się żegnać swemi.
Wokoło swej tkaniny dała brzeżek wązki,
Na nim wyszyła kwiaty i bluszczu gałązki.
— Pracy Arachny zganić nie mogłaby zawiść.
Jej doskonałość wzbudza w Minerwie nienawiść,
Bogów zbrodnie kreślące rozdziera obrazy;
Cytoryjskiem czółenkiem kilkanaście razy
Uderzyła Minerwa w czoło nieszczęśliwej.

Nie może znieść Arachne hańby tak zelżywej,
Chce się zabić, na szyję przepaskę zakłada.
Już nad wiszącą litość uczuła Pallada.
»Żyj, rzekła, lecz na pracy twej wiś niegodziwa!
Ta kara dla przykładu niech na wnuki spływa!«
Natychmiast ziół piekielnych sokiem ją zbryzgała:
Spłynęły jadem włosy, zapada twarz cała,
Kurczy się głowa, ciało niknie, kształt się mieni
Wystają cienkie palce na miejscu goleni,
Żołądek zajął resztę: nić snuje z żołądka.
Nie jestto już Arachne, lecz jeszcze jest prządka.

14. NIOBE.

Cała Lydia zadrżała i Frygii mieszkańce,
A wieść ten czyn rozniosła w oba ziemi krańce.
Niobe przed swym ślubem żyjąca w Meonach,
W ojczystych się z Arachną zapoznała stronach;
Przykład ziomki daremną był dla niej przestrogą,
Że bóstwa znieść bezkarnie zuchwalstwa nie mogą.
Z wielu miar była pyszną: Jednak ani z rodu,
Ani z władzy królewskiej, ani z męża rodu
Nie tak wbiła się w dumę, ile z licznych dziatek;
I byłaby Nioba najszczęśliwszą z matek,
Lecz sama zbyt zuchwale swe szczęście rozgłasza.
Bo Manto prorokini, córka Tyrezjasza
Boską mocą natchniona po drogach tak woła:
»Spieszcie się, Ismenidy, zbierzcie się dokoła
Przysparzajcie Latonie z jej córką i synem
Ofiar, woni, a włosy opnijcie wawrzynem.
Bóstwo przezemnie mówi«. Posłuszne Tebanki
Schodzą się wieńczyć skronie w wawrzynowe wianki.
Sypią wonie i święte ognie zapalają.

— Wtem nadchodzi Niobe z liczną dworzan zgrają,
Po frygijsku ubrana od złota jaśniała,
Mimo gniewu powabna, w ruchach swych wspaniała.
Na pierś śnieżną włos spadał trefiony w pierścienie.
Staje i dumne wkoło rzucając wejrzenie,
Tak z zapałem zawoła: »Ach, co za szał srogi,
Przekładać niewidome nad widoczne bogi,
Stawiać ołtarz Latonie, gdym ja bez kościołów!
Córka Tantala, boskich uczestniczka stołów,
Ja Plejad siostrzenica i Atlasa wnuka,
Na którego ramionach świat podpory szuka.
Mnie jak teść wielki Jowisz i jak dziad zaszczyca,
Mnie czczą ludy frygijskie, mnie Kadma stolica,
Mnie gród wzniesion twórczemi męża mego strony
I lud w nim zamieszkały oddaje pokłony.
Wszędzie w moich pałacach błyszczy skarbów mnóstwo,
A kto piękność mą widzi, przyznaje żem bóstwo.
Z siedmiu cór, z siedmiu synów mam życia słodycze,
Wkrótce tyleż synowych i zięciów naliczę.
Jeszcze śmiejcie o powód dumy mojej badać
Jeszcze śmiejcie Latonę nademnie przekładać,
Córkę jakiegoś Cea, której ziemia cała
Ani kąta na połóg użyczyć nie chciała.
Sławnej waszej bogini, ani morskie kraje,
Ani niebo żadnego schronienia nie daje.
Tułała się wygnanka po świata przestworzach.
»Ty błąkasz się po ziemi, ja błąkam po morzach«,
Rzekła Delos i w górach ukryła ją swoich.
Tam rodzi dwoje dzieci, to siódma część moich.
Szczęśliwam i na zawsze szczęśliwą zostanę.
Dostatek mnie na wszelką ubezpieczył zmianę.
Wyższam nad pocisk losu, wyzywam go śmiało,
Choćby mi wydarł wiele, wieleby zostało.
Choć z tłumu dzieci moich weźmie jedno dziecię,

O dwojgu jak Latona nie zostanę przecie.
Dalekam od sieroctwa. Wychodźcie z kościoła
I liśćmi laurowymi nie wieńczcie już czoła!«
Rzekła. Laury zdejmują, wychodzą z świątyni,
Lecz, jak mogą, cześć w sercu oddają bogini.
— Ten gwałt w duszy Latony słuszną zemstę nieci,
I tak z wierzchołka Cyntu do swych rzekła dzieci:
»Oto ja wasza matka, chełpiąca się wami,
Prócz Junony z wszystkiemi równa boginiami,
Czylim bogini wątpię. Bez waszej opieki
Zostanę bez ołtarzy, wzgardzoną na wieki.
Nie nad tem tylko cierpię. Potomka Tantala
Siebie nademnie, nad was swe dzieci przechwala,
Mnie nazywa sierotą, niech to na nią spadnie,
Gdy tak ojca przykładem śmie bluźnić szkaradnie«.
Już chciała dodać prośbę do tego, co rzekła.
»Przestań, mówi Feb, skarga zemstęby przewlekła«.
Tożsamo stwierdza Febe i w gęstym obłoku
Schodzą na zamek Kadma niewidzialni oku.
— Przy samych wałach miasta było równe błonie,
Twardemi je kopyty stratowały konie
I ostrych kół tysiące zagony rozbiło.
Dwaj synowie Amfiona, celujący siłą,
Ujeżdżali tam właśnie ogniste rumaki.
Złotem lśnią się ich wodze, szkarłatem czapraki.
Wtem jeden z braci, Ismen, pierwsze matki brzemię,
Gdy w koło koniem skręca na tętniącą ziemię,
A koń się wspina, pieni, »Ach! Biada mi!« krzyknął
I zaraz środek piersi pocisk mu przeniknął;
Z konającego dłoni wędzidła wypadły
I legł na prawą stronę martwy i pobladły.
Słysząc przez czcze powietrze świszczące pociski,
Sypilus puszcza wodze. — Tak gdy obłok blizki
Ciężarny piorunami żeglarz ujrzy nagle,

Chcąc lada wietrzyk schwytać rozpościera żagle.
Lecz i pierzchającego dotknął cios morderczy,
Strzała przeszywszy czaszkę w śródku gardła sterczy;
On, jak biegł nachylony, po szyi się stoczył,
Padł i w tem miejscu ziemię gorącą krwią zbroczył.
Kiedy po zwykłej pracy nieszczęsny Fedymie
I ty Tantalu, dziadka dziedziczący imię,
Na młodzieńcze zapasy biegliście z zapałem,
Gdy pierś z piersią się zeszła, ciało starło z ciałem,
Z wyprężonego łuku wypuszczona trzcina,
Jak byliście spojeni was obu przecina.
Razem jękli, polegli i w tej samej chwili
Razem oczy ich zgasły i ducha stracili.
Przerażony Alfenor, widząc zwłoki bratnie,
Chce je wziąć, chce im oddać usługi ostatnie,
A gdy tak do pobożnej czynności się spieszył,
Król Delu ostrym grotem głąb piersi mu przeszył.
Wyrwał go, lecz się z ostrzem wyciągają płuca,
A z krwią upływającą duch ciało porzuca.
Ale tobie nie jedna zgon zadaje rana:
Damasychtonie młody! Grot środek kolana
W samem zgięciu ci przebił i gdy ręką silną
Usiłujesz wydobyć strzałę nieomylną,
Druga tobie przeszywa natychmiast śród gardła,
Ale ją krew ognista na ziemię wyparła
I silnym z ciężkiej rany potokiem wypada.
Ostatni Ilioneus darmo ręce składa
I tak błaga: »Przebaczcie, o bogowie nieba!«
Prosił wszystkich, a było nie wszystkich potrzeba.
Chciał Feb, lecz nie mógł cofnąć strzały wypuszczonej
Lecz od najlżejszej rany poległ Ilionej.
— Wieść nieszczęścia, żal ludu i krewnych zmartwienie
Wkrótce doniosły matce to smutne zdarzenie.
Zadziwiona, że mogli i gniewna, że śmieli

To uczynić bogowie, na co praw nie mieli,
Usłyszała, że Amfion przebił się żelazem
I tak smutku i życia pozbył się zarazem.
O! jak teraz Niobe odmienna od owej
Dumnie przez środek miasta idącej królowej,
Rozganiającej tłumy od ofiar Latony.
Litości stał się godnym jej los zazdroszczony.
Padła na zimne zwłoki i synów swych ciała,
Bez różnicy raz jeszcze ostatni ściskała,
Aż nakoniec tak rzekła własne bijąc łono:
»Nakarm się mem nieszczęściem, okrutna Latono!
Nakarm, nasyć mym smutkiem srogie serce twoje,
Siedmiorakim pogrzebem kończę życie moje.
Ciesz się, raduj! Odniosłaś tryumf nad Niobą,
Lecz nie, i teraz jeszcze mam wyższość nad tobą.
Biednej więcej zostało, niż szczęśliwej tobie,
Jeszczem cię zwyciężyła, choć synów mam w grobie!«
— Rzekła. Wtem po powietrzu strzała z łuku brzękła,
Wszyscy zbledli. Niobe sama się nie zlękła.
Nieszczęściem była śmiałą. Nad bratnimi stosy
Stały ich siostry w czerni, rozpuściwszy włosy.
Jedna z nich, gdy w rozpaczy nad bratem schylona
Chce strzałę z ciała wyrwać, upada i kona.
Druga, gdy w żalu matkę pociesza stroskaną,
Już na wieki umilkła, tajną tknięta raną.
Ta uciekając, padła, ta na siostrze legła,
Tę kryjącą się dusza, tę drżącą odbiegła.
Już dręczyła się matka sześciu córek strzałą,
Ostatnia pozostała. Tę ciałem i szatą
Otulając, zawoła: »Zostaw mi jedyną!
Za ostatnią cię proszę, najmłodszą dzieciną!
Gdy błaga, ta upada, za którą błagała.
Wśród zwłok męża i dzieci już osierociała
Stanęła słupem. Z bladej jej twarzy krew znikła,

Włosy rozpierzchłe twardość przejęła niezwykła.
W martwem oku źrenica stoi bez wzruszenia,
Nie może władać ręką, ni podnieść ramienia,
Ani stopą poruszyć, ani ruszyć szyją;
Niema życia w posągu, już żyły nie biją,
Już czułe podniebienie z językiem zdrętwiało,
Już nakoniec i same wnętrzności są skałą.
Płacze jednak. Wiatr silny porywa ją w chmury
I w pędzie ją zanosi na ojczyste góry,
Tam ślad jej łez aż dotąd zostaje na głazie.

15. ODMŁODZENIE AJSONA.

Z hemońskiemi matkami ojcowie podeśli
Bogom za powrót synów hojne dary nieśli.
Rozciekły się kadzidła w ogniu płomienistym,
Padła święta ofiara z pożarem złocistym.
Eson tylko sam nie mógł dzielić syna chwały,
Blizki zgonu i długiem życiem ociężały.
Wtem rzekł Jason: »Ty moje opiekuńcze bóstwo!
Żono, choć już od ciebie mam dobrodziejstw mnóstwo,
Choć przeszły wiarę, nowe uczyń proszącemu,
Mnie lat ujmij, ujęte dodaj ojcu memu!«
To mówiąc, łez nie wstrzymał. Tknięta cnotą syna
Opuszczonego ojca Medea wspomina,
Lecz tając swe uczucia, rzekła z uniesieniem:
»Z jak okrutnem się do mnie odzywasz życzeniem,
Jaż mam z ujmą lat swoich czyje dni przedłużyć,
Niech mnie Hekate broni, lecz chcę ci usłużyć,
Chcę dać więcej niż żądasz i jeżeli zdołam,
Nauką, nie twem życiem wiek teścia odwołam:
Jeżeli się do śmiałych przedsiewzięć przyczyni
I wspomoże mnie łaską trójkształtna bogini«.

— Trzech jeszcze brakło nocy, by swe rogi ścisnął
I pełny zeszedł księżyc. Wtem, gdy w kręgu błysnął
I spojrzał okazały ną ziemię poddaną,
Wyszła Medea z domu z szatą rozszarpaną,
Bosą nogą, spuściwszy włosy po ramieniu,
Postępowała sama, wśród nocy, w milczeniu.
Sen błogi ukołysał zwierza, ptactwo, ludzi:
Najmniejszy nawet szelest śpiących nie obudzi.
Milczy liść niewzruszony, cicho spada rosa,
Świetnemi tylko gwiazdy iskrzą się niebiosa.
Trzykroć do nich Medea podnosi ramiona
I wodami rzecznemi trzykroć pokropiona
Trzykrotnem stan swej duszy westchnieniem objawia,
A przykląkłszy, tak wreszcie z zapałem przemawia:
»Powiernico tajemnic, Nocy, zsyłająca
Księżyc i gwiazdy w zamian dziennego gorąca,
Ty Hekate potrójną twarzą okazała,
Co świadoma mych życzeń, zawsześ je wspierała!
I wy czary cudowne i ty bóstwo ziemi
Czarnoksiężnikom zioły pomocne licznemi!:
Powietrze, wiatry, góry, i rzeki,. i stawy,
Bóstwa leśne i nocne, rzućcie wzrok łaskawy!
Wami silna, gdy zechcę, z trwogą okolicy
Każę wodom do własnej cofać się krynicy,
Ciche morza rozedmę, wzburzone poskromię,
Wiatry zwołam lub spędzę, mgły zbiorę lub zgonię.
Smocze paszczęki czarów potęgą rozwieram,
Żywe skały i dęby z korzeniem wypieram,
Lasy wzruszam, gdy każę, drżą i gór posady,
Ryczy ziemia i z grobów cień wychodzi blady.
Zejdzie z tronu i nocy ozdoba celniejsza,
Choć brzęk spiży temsejskiej jej bóle umniejsza.
Słońce z zorzą poblednie, gdy przemówią czary.
One ognistych cielców zgasiły pożary,

Zgiąwszy kark niecierpliwy zmusiły pruć ziemię;
Czary wojnę zwróciły w srogie wężów plemię,
Czary uśpiły smoka, greckie miasta złotem,
A matki darząc synów szczęśliwym powrotem.
Przez czary niech otrzymam zioła, których siła
Z zgrzybiałejby starości młody wiek wskrzesiła.
Spełńcie modły!« Spełniają, bo już skrzą się gwiazdy
I wóz zstępuje z niebios do powietrznej jazdy.
Rzekła. Wtem ze smokami wóz spoczął na ziemi.
— Wsiada Medea, wstrząsa wędzidły lekkiemi
I pędem wzlata w niebo. Już Krety dziedzinę,
Już pod sobą tessalską spostrzegła dolinę,
Stąd na Ossie, Pelionie, Pindzie i Otrydzie
I na Olimpie zeszłe zioła zbierać idzie.
Jedne razem z korzeniem rwąc upodobanym,
Z drugich wierzch tylko sierpem ścinając miedzianym.
Już za szukaniem roślin dzień minął dziewiąty,
Jak na smokach najdalsze zwiedzała zakąty.
Gdy powróciła, smoki ziół dotnięte wonią
Wnet wątłą ze starości skórę z siebie ronią.
— Nie wchodzi w próg Medea, pod niebem przebywa
Nawet się od Jasona uścisków wyrywa
Z darni wznosi ołtarze, święte nucąc śpiewy,
Z nich prawy dla Hekaty, dla Młodości lewy.
Otoczywszy je wkoło chróstem i koszyskiem,
Wykopuje dwa doły w miejscu ofiar blizkiem,
Zarzyna owce czarną przyoblekłe wełną
I trzyma je, aż w doły krwi naciekło pełno.
Wlewa soków Bakchusa i mleka puhary,
Zaprasza bóstwa ziemi na hojne ofiary.
Poczem błaga wszechwładnych w Erebie małżonków,
By nie przyszli brać duszy ze zgrzybiałych członków.
Gdy to wreszcie jej długie błaganie zjednało,
Kazała wnieść przed ołtarz słabe starca ciało.

A uśpiwszy je przedtem czarownymi soki,
Złożyła je na ziołach, jakby martwe zwłoki.
Potem męża i sługi od ofiar oddala,
Czarów niepoświęconym widzieć nie dozwala.
Gdy odeszli, Medeę święty szał napada,
Biega wkoło ołtarzy, jak dzika Menada,
Naszczypane łuczywa w dołach we krwi marze,
Zapala je i stawia na bogiń ołtarze.
A trzykrotnie nad ciałem leżącem schylona
Ogniem, wodą i siarką oczyszcza Esona.
Wtem z dzielnymi lekami wrzał kocioł miedziany,
Kipią płyny, wzdętemi bielejąc się piany.
Ona wzięte z hemońskiej doliny korzenie
Ciska w kocioł i kwiaty i kwiatów nasienie,
Przydając w wschodnich krajach kamienie zdobyte,
I perły w Oceanu przepaściach ukryte,
I przy świetle księżyca nazbierane szrony,
I łeb sowy ze ścierwa niedość oczyszczony,
Wilkołaka wnętrzności, który z przyrodzenia,
Gdy chce paszczę zwierzęcą w twarz ludzką przemienia.
Afrykańskiego żółwia nie brakło pokrywy,
Dostarczył swej wątroby jeleń długo-żywy,
Dzióbu ów kruk, co przeżył całe dziesięć wieków.
Wszystko tłucze w moździerzu i sypie do leków.
A słysząc, jak już wrzały w naczyniu zamkniętem,
Miesza masę oliwnym, ale suchym prętem.
Wtem, o cuda! Ów dawniej martwy kawał drzewa
Zieleni się, za chwilę w liść się przyodziewa.
Wkrótce już jest w oliwne owoce przybrany,
A gdziekolwiek z naczynia wytrysnęły piany
I gdziekolwiek na ziemię padły krople wrzące,
Rośnia świeża darnina i kwiaty pachnące.
Na ten widok Medea miecz w starca bez zwłoki
Topi, krew starą ściąga, nowe wlewa soki.

I ustami i raną Eson je połyka,
Zaraz z włosów i brody siwizna mu znika,
Z nią i chudość i bladość, krew napełnia żyły,
Ciało pokrywa zmarszczki, powracają siły.
Powstał Eson szczęśliwy i poznał radośnie,
Iż tym na nowo został, kim był w życia wiośnie.

16. ZARAZA NA EGINIE.

Naprzód niebo pomroką ziemię ogarnęło
I leniwe zapary w obłokach ścisnęło;
Choć czterykroć swe koło księżyc uzupełnia,
Chociaż czterykroć światu wdzięczna znika pełnia,
Zawsze parne powiewy zsyłało południe.
Truły zdrowe krynice i bagna i studnie,
Snuły się po odłogach liczne żmij gromady,
Czyste rzeki zgubnymi zalewały jady.
Naprzód psy, owce, ptactwo i woły dosięga
I dzikie zwierza nagłej choroby potęga.
Padające przed pługiem wśród zoranej niwy
Widząc woły osłupiał rolnik nieszczęśliwy;
Z trzody runem okrytej, beczącej żałośnie,
Sama wełna opada i ciała schną sprośnie.
Koń rączy do wojennej zrodzony kurzawy,
Gardzi wieńcem, a dawnej zapomniawszy chwały
Smutnie stęka przy żłobie i bez sławy ginie.
Już dzik z wściekłości, jeleń z szybkich nóg nie słynie,
Niedźwiedź stadom nie grozi. Natura omdlała.
W lasach, w polach, po drogach szpetne leżą ciała,
Pomnażają zarazę. Większe wspomnę dziwy:
Ani ptactwo żarłoczne, ni wilk łupu chciwy
Nie rzucał się na zwłoki; zostawione gniły
I szkodliwym powietrze wyziewem raziły.

— Na domiar klęsk zaraza między kmiotków wpadła
I nakoniec za miejskie mury się zakradła.
Płoną naprzód wnętrzności, oznaką trawiącej
Choroby jest czerwoność i oddech gorący.
Nabrzmiał język i spiekłe usta się rozwarły,
Ledwie wciąga powietrze chory obumarły.
Okrycia znieść nie może, posłanie mu szkodzi,
Kładzie się na grunt zimny: i ten go nie chłodzi,
Owszem ziemia gorąco przejmuje od ciała.
Nawet się na lekarzy zaraza porwała.
Zgubną im własna sztuka, bo czem są chorego
Bliżsi, czem go troskliwiej i staranniej strzegą,
Tem prędszą giną śmiercią. Zwątpiwszy o sobie,
Każdy końca swych cierpień upatruje w grobie.
Każdy żądzom dogadza, pomocy nie szuka:
Bo już pomocy żadnej nie daje nauka.
Nago idą do studni, na zdrój, do strumienia,
Tam każdy ledwie z życiem pozbywa pragnienia.
Ci już syci wstać nie chcą, w wodzie mrą i gniją;
Lecz są tacy, co jeszcze i te wody piją.
Część chorych tak już sobie swe łoże zbrzydziła,
Że zrywają się z niego, a gdy wzbrania siła,
Staczają się na ziemię; tak każdy wychodzi
Myśląc, że tylko pomór na jego dom godzi,
Gdy powód skryty, miejsce w podejrzeniu mają,
Póki mogą, po znanych drogach się tułają,
Ten ledwie żywy jęczy, tamten ziemię tłoczy,
Ostatni raz znużone przewracają oczy.
Ci zimne ręce w niebios podnoszą sklepienie,
I gdzie ich śmierć zabiegnie wyziewają tchnienie.
Czegom wówczas mógł żądać, sam prawie na ziemi
Jeśli nie przez zgon rychły złączyć się ze swymi?
Gdziem spojrzał tłumy ludu tak leżały wszędzie,
Jak strząśnięte z gałęzi jabłka lub żołędzie.

— Widzisz ten pyszny kościół? król bogów w nim włada
Któż z nas na jego ołtarz czczych modłów nie składa?
Gdy je ojciec za synem, mąż za żonę czyni,
Wtem śmierć w nieubłaganej znajduje świątyni,
W ręku niedopalone trzymając kadzidło!
Gdy czyste między rogi wino już nalano,
Nagle padały woły śmiercią niespodzianą!
Ja sam pragnąc za dziećmi i własnym narodem
Jowisza uroczystym ubłagać obchodem,
Ujrzałem, iż ofiara, smutnie rycząc legła,
A krew z niej z pod żelaza zaledwie pobiegła.
Nie można było wróżby wyczytać z wątroby,
Bo do wnętrzności przeszła potęga choroby.
W kościoły na ołtarze natłoczywszy trupy,
Chciano bogom obrzydzić srogiej śmierci łupy.
Ten się mieczem przebija, ów przepaską wiesza,
I przez obawę śmierci śmierć sobie przyspiesza.
Już nie dają umarłym pogrzebowej cześci;
Już liczba karawanów w bramach się nie mieści.
Jedni się bez pogrzebu walają ohydnie,
Tych tłum pali na stosach. Gdy inni bezwstydnie
O grób walczą, ów wreszcie cudzym ogniem płonie.
Matek, starców i dzieci po okropnym zgonie
Dotąd nieopłakane błąkają się cienie,
Niestaje miejsc na groby i drzew pod płomienie.
— W odmęcie tylu nieszczęść tak wołam z zapałem:
»Jowiszu! Jeśli prawda, co za pewne miałem,
Że cię w postaci ognia przyjęła Egina,
Jeśli, wszechmocny ojcze, nie wstydzisz się syna
Albo mi powróć moich lub mnie odbierz życie«.
Wtem błysło i zagrzmiało w samym niebios szczycie
»Przyjmuję szczęsną wróżbę, łaski ojca godło,
Oby mi, rzekłem, przyszłość pomyślną przywiodło!«
Stał blizko z Dodońskiego nasienia zrodzony,

Dąb rozłożysty bogów ojcu poświęcony.
Pod nim spostrzegam ziarno zbierające plemię,
Mrówki, co w drobnym pyszczku wielkie niosły brzemię
I po krętej pnia korze śladu pilnowały.
Widząc rój ich tak liczny, tak w pracy wytrwały,
»Najlepiej ojcze, rzekłem, spełń życzenia moje,
Daj mi naród tak liczny, jak tych mrówek roje«.
Wtem bez wiatru dąb zadrżał i konary jękły.
Mnie włos stanął na głowie. Struchlały, przelękły
Dąb i ziemię całuję; choć los mi się śmieje,
Jeszcze nie śmiem się przyznać, że już mam nadzieję,
Tylko lube życzenia z głębi serca żywię.
Noc nadeszła, sen troski ukoił szczęśliwie.
Wtem staje mi przed oczy tenże sam dąb stary
Z tymi sennymi liśćmi i z tymiż konary,
Pod nim te same mrówki i znowu wstrząśniony
Porozwiewał ich roje na blizkie zagony;
Te rosną, coraz większe i większe się zdają,
To od ziemi się wznoszą, to już prosto stają,
Każda z nich chudość, czarność i liczbę nóg traci
I tak stopniami w ludzkiej zjawia się postaci.
Noc znikła. Szydzę ze snu, na bogów się żalę.
Wtem słyszę jakiś szelest i już doskonale
Odwykły rozpoznaję głos dalekich ludzi.
Lecz myślę, że mię jeszcze sen zwodniczy łudzi.
Wtem wpadł i rzekł Telamon: »Ojcze cud się dzieje,
We wszystkiem przechodzący wiarę i nadzieję.
Wyjdź!« Wychodzę i we śnie widzianych poznałem
Przyszli i mnie jak króla witali z zapałem.
Na cześć Jowisza wonie poświęcam płomieniom
I przeznaczam gród dawny świeżym pokoleniom.
Pole puste rozdzielam dla nowego ludu;
I zwię Mirmidonami na pamiątkę cudu.
Dawnych jest mimo zmiany zwyczajów pamiętny,

Lud ten w pracy wytrwały, oszczędny i skrzętny,
Nabytku szanujący, porządny, spokojny.
Mężnych i równych wiekiem zabierzesz do wojny,
Gdy Eur, który was do mnie przywiódł, sprzymierzeni,
Ułatwiając wam drogę w Austra się zamieni.

17. DEDALUS I IKARUS.

Wtedy w Krecie po długim rozdziale ze swymi
Uczuł Dedal tęsknotę do ojczystej ziemi,
Lecz wstrzymuje go morze i Minosa rządy.
»Niechaj zamknie przedemną i wody i lądy
Rzekł Dedal, niebo dla mnie wolnem się zostanie,
Niech ma świat, lecz powietrze nie wziął w panowanie«.
Bystrym umysłem swoim naturę odnawia
I nowe sztuki tworzy. Pióra w rząd ustawia,
Małe od dołu, wyższe po niższych koleją.
Tak na wsiach z trzcin nierównych flet robić umieją.
Z środka je nićmi, w końcu lepkim woskiem spina
I na wzór skrzydeł ptaka lekko je zagina.
Na ojca swego twory patrzał Ikar mały,
Igrał z nimi, nie wiedząc, że go zgubić miały.
To raz śmiejąc się piórka latające goni,
To wosk przysposobiony w szczupłej gniecie dłoni
I tak spóźnia cudowne ojca swego dzieło.
Gdy nakoniec z rąk jego doskonałość wzięło,
Mistrz oba sobie skrzydła na ręce zawija
I poruszając niemi w powietrze się wzbija.
Uczy syna: »Byś nie był przyczyną twej zguby,
Sredniej trzymaj się drogi, Ikarze mój luby.
Spuszczając się za nizko, woda skrzydła zmoczy,
Za wysoko się wznosząc słońce wosk roztoczy.
Leć środkiem. Na Boota, na oba niedźwiedzie,

Na miecz nagi Oriona, niech cię wzrok nie wiedzie,
Za mną spiesz«. Tak mu sztukę latania objawia
I niezwyczajne skrzydła do ramion przyprawia.
— Wśród rad i przygotowań starzec ciężko wzdycha,
Drży mu ręka, twarz blednie i płynie łza cicha.
Ostatni raz synowi tkliwy uścisk daje
I wskazując mu drogę w górne wzlata kraje.
Tak matka ptasząt z gniazda wysokiego leci,
Po raz pierwszy w powietrze wywodząc swe dzieci.
By w jego dążył ślady na wszystko zaklina
I sam bije skrzydłami i patrzy na syna.
Rybak mącący wędką czyste wód zwierciadło,
Pasterz o kij oparty i rolnik o radło,
Widząc ich, jak powietrzne przebywali drogi,
Osłupiał z zadumienia i wziął ich za bogi.
Minęli Delos, Paros; po lewej ich stronie
Był Samos poświęcony potężnej Iunonie,
Z prawej Lebint i w miody Kalymne bogata,
Gdy młodzian niecierpliwy, że tak nizko lata
Żądzą nieba przejęty, ojca porzuciwszy,
Wzniósł się w przestrzenie wyższe. Słońca promień żywszy,
Skoro spojenia skrzydeł, wonny wosk, rozgrzeje,
Spadły pióra, nagiemi ramionami chwieje,
Już się dłużej w powietrzu utrzymać nie zdoła;
Spadający za późno ojca w pomoc woła,
Legł w morzu, które odtąd imię jego wzięło.
Ojciec nie widząc syna przeklina swe dzieło,
Nieszczęsny, już nie ojciec. Ikara przyzywa:
»Ikarze! Gdzieś Ikarze!« Patrzy, ciało pływa,
Przeniósł je biedny ojciec na wyspę poblizką
I od pogrzebionego nadał jej nazwisko.

18. FILEMON I BAUCIS.

Wierzaj mi, niezmierzoną mają moc niebianie,
I cokolwiek pomyślą, natychmiast się stanie.
Byś nie wątpił, we Frygii pod stopami góry
Jest dąb przy lipie nizkimi opasany mury.
Przy tym mętne jest bagno, ziemia dawniej żyzna
Teraz nurków i pliszek wodnistych ojczyzna.
Tu Jowisz i Merkury ludzką wziąwszy postać,
Tysiąc chat odwiedzili chcąc przytułek dostać
Tysiąc chat drzwi zamknęło. Lecz przyjęła jedna,
Słomą, trzciną poszyta i nizka i biedna,
W niej to podeszła Baucis i Filemon stary,
Z młodu złączeni węzłem miłości i wiary,
Doszli wieku późnego; przestając na małem
Nie czuli, że ubóstwo było ich udziałem.
Sług tam niema i niema panów nad sługami,
Dwoje ich tylko: państwo i słudzy ci sami.
— Gdy do szczupłego domu prowadzącej sieni
I w nizkie drzwiczki weszli bogowie schyleni,
Wita gości i ławę przysuwa staruszek,
A Baucis kładzie parę wysłanych poduszek.
Zbiera liście i korę, zbliża się do pieca,
Ciepły popiół odmiata, zgasły ogień wznieca,
Słabymi odmuchając ożywia oddechy,
Przynosi szczapy suche i drzazgi z pod strzechy,
Kładzie drewka pod kocioł i jarzyny czyści,
Które jej mąż w ogrodzie poobrywał z liści.
On tymczasem słoniny uwędzonej kawał
Z pod okopconej belki widłami dostawał.
Ucina z niego cząstkę i ukropem parzy.
— Gdy tak około uczty krzątają się starzy,
Na przyjemnej rozmowie trawią czas niebianie.
Proste, wierzbowe łóżko w środku izby mieli,

Na niem była rogoża na miejscu pościeli.
Szatą ją okrywają chowaną od święta,
Choć i ta gruba, dawne już lata pamięta,
Godna takiego łoża. Tu spoczęły bogi.
Drżąca Baucis przystawia stół, co miał dwie nogi
I trzecią, lecz nierówną. Tę skorupa wsparła.
Stół już mocno stojący świeżą miętą starła.
Na nim dwubarwny owoc święcony Palladzie,
Tarnki w lagrze moczone i sałatę kładzie,
Dalej rzodkiew i sery wytłaczane z mleka
I jaja, które w ciepłym popiele przypieka.
Wszystko w misach glinianych. Wreszcie na ochłodę,
W glinianym roztruhanie daje wino młode,
Z niego w kubki bukowe, woskowane wlewa,
Wreszcie ciepłe od ognia przynosi warzywa.
Na drugie danie wety na stół zastawiono.
Tu zdjęto z latorośli słodkie winogrono,
Tu w koszyku plecionym mnóstwo jabłek leży,
Suche figi, daktyle, śliwki, orzech świeży,
I plastr miodu białego. Tę ucztę ubogą
Krasi twarz starców z serca dających, co mogą.
— Widząc oni, że mimo częste nalewanie,
Coraz jednakże wino rośnie w roztruhanie,
Dziwią się i tak mówiąc ręce w niebo wznoszą:
»Godnie was przyjąć, dla nas byłoby rozkoszą,
Darujcie, że jesteśmy nieprzysposobieni«.
Dla straży małej chatki gęś karmili w sieni:
Tę dla swych gości zabić chcieli sami.
Ptak szybki męczy starców schylonych latami
I uwodząc ich długo do bogów ucieka.
»Ten ptak nie zginie, nasza strzeże go opieka,
Myśmy bogowie — rzekli. Za spełnione zbrodnie
Wszystkich waszych sąsiadów ukarzemy godnie.
Wy tylko od powszechnej ujdziecie zagłady.

Opuśćcie strzechę waszą, idźcie w nasze ślady!
I spieszcie się za nami na górę wysoką«.
Posłuszni woli bogów, słabe nogi wloką
I silą się o kiju piąć po ścieżce małej.
— Oddaleni od wierzchu tylko o lot strzały
Oglądają się: wszystko zniknęło w powodzi,
Tylko nizka ich strzecha nad wody wychodzi.
Tem zdziwieni, gdy płaczą nad zgubą swych braci,
Dom wprzód dla dwojga szczupły postać swoją traci,
Zmienia się w kościół: z słupów powstają filary,
Słoma połyska, złotym zdaje się dach stary,
Marmur podłogę, brama zdobi wchód świątyni.
Wtem Jowisz im łagodnie to pytanie czyni:
»Powiedz, dobry staruszku, co sobie życzycie,
Wraz z żoną, z którą miałeś szczęśliwe pożycie«.
Filemon krótką chwilę z Baucydą rozmawia,
I potem wspólne myśli tak bogom objawia:
»Chcemy być kapłanami, żyć w waszym kościele;
Że ze sobą lat zgodnych spędziliśmy wiele,
Chcemy i umrzeć razem, niech grobu mej żony
Nie widzę, ani od niej będę pogrzebiony«.
— Wysłuchał bóg ich prośby: straż kościoła mieli,
Życie im przeznaczone spędzają weseli.
Syci wieku, gdy stali przy kościoła schodach
I rozmawiali z sobą o miejsca przygodach,
Spostrzegł starzec, że Baucys w liść się przyodziewa,
Widzi Baucys, że mąż jej bierze postać drzewa,
Krew się ścięła w ich żyłach i zmartwiały członki.
«Bądź zdrowa«, rzekł Filemon do swojej małżonki,
»Bądź zdrów«, do Filemona rzekła Baucys tkliwa.
Wtem razem miękka kora usta im pokrywa.
Jeszcze ze czcią pobożność tych starców wspomina
Pamiętna na ich cnoty dinejska kraina.

19. ERYSICHTON.

Stał tam dąb rozłożysty i szanowny laty,
Sam był lasem. Lud na nim i wieńce i kwiaty
I ofiary zawieszał za prośbę spełnioną.
Podawszy sobie ręce ochocze nimf grono,
Ledwie pień tego dębu wkoło objąć zdoła.
On to, o ile drzewa przewyższają zioła,
Tyle wierzchem przenosi wszystkie drzewa razem.
— W ten dąb kazał syn Triopsa uderzyć żelazem;
Ale widząc, że słudzy długo czynią opór,
Z ręki jednego gwałtem wyrwał ostry topór.
»Choćby Ceres w tym dębie żyła, rzekł zuchwale,
Dziś go zetnę i ziemię gałęźmi przywalę«.
— Zaraz z wielkim zamachem uderzył w dąb stary,
Jękło drzewo, zadrżało, wstrząsły się konary,
Zwiędły z liśćmi żołędzie, a z kory sok płynie,
Jak z wołu ofiarnego, gdy przed bóstw świątynie
Wprowadzą go i ostrym razem biją popi,
Pada wół i posoką ziemię wkoło kropi.
Tak ciął w dąb Erysichton. Zlękli się przytomni,
Jeden z nich, gdy mu wielkość zbrodni jego wspomni
I chce wstrzymać topora świętokradzkie cięcie,
Tessal tak mu odpłaca dobre przedsięwzięcie:
»Pobożny! Przyjm nagrodę za twoją przysługę!«
Topór w dąb wymierzony obrócił na sługę,
Sciął mu głowę. I znowu zabrał się do rębu,
Gdy wtem taki usłyszał głos z pośrodku dębu:
»W tem poświęconem drzewie, co jest lasu chlubą,
Ja, Nimfa, żyję, będąca zbóż bogini lubą.
Słuchaj mej przypowieści, ginę z twojej ręki,
Lecz straszne od Cerery czekają Cię męki«.
— On nie słucha, trwa w zbrodni, uderzenia mnoży
I linę na szczyt dębu gdy zręcznie założy,

Dąb runął i ciężarem zasłał las szeroki.
W rozpaczy po tej stracie, Dryady bez zwłoki
Przywdziewają żałobę i twarz łzami roszą
I Cererę o karę świętokradcy proszą.
Słucha ich próśb bogini, a na jej skinienie
Pole zbożem okryte, silne zdjęło drżenie;
Wynajduje Cerera męczarnie bez miary
Lecz jeszcze zbrodnie jego większej godne kary,
Głód mu przeznacza. A gdy wyroków rozkazem
Nigdy Cerera z Głodem nie może być razem,
Do jednej z Oreadów mówi słowy temi:
»Jest miejsce na granicach mroźnej Scytów ziemi,
Puste, smutne, nieżyzne; drzewa, zboża niema.
Tam mieszka tylko Drżenie, Bladość, gnuśna Zima
I Głód nigdy nie syty, wyschły, zimny, blady.
Ten niech w pierś świętokradcy przeleje swe jady,
Niech się wzrostem pokarmów wzmoże jego siła,
Chociażby nawet moją potęgę zniszczyła.
Jeśli ci długość drogi zbyt straszną się zdaje,
Weź mój wóz, zaprząż smoki, leć w scytyjskie kraje«.
Wsiada nimfa i z wozem w powietrze się wznosi,
Kieruje rącze smoki ku północnej osi,
Dopiero je wstrzymała na górnym Kaukazie.
Tam widzi Głód, jak w polu przy ogromnym głazie
Rwie rośliny i zęby rzadkimi je ścina,
Włos jego najeżony, twarz chuda i sina,
Zczerniałe zęby, wklęsłe oczy, usta zbladłe,
Przez grubą skórę widać wnętrzności zapadłe,
Pierś tylko wisi, udów nie pokrywa ciało,
Tam gdzie brzuch, miejsce tylko na brzuch pozostało.
Sterczy kolano, członki przedłuża schudnienie
I nad miarę napuchłe wystają golenie.
Z daleka go na polu widzi Oreada
Staje, krótko Cerery rozkazy przedkłada,

Nie zbliża się, a lubo nie długo bawiła,
Lubo znacznie od Głodu oddaloną była,
Już go czuje w swych piersiach, zwraca prędko smoki
I w kraj bitnych Tessalów pędzi przez obłoki.
— Choć Głód zawsze przeciwnym bywał zbóż bogini,
Teraz jednak jej woli chętnie zadość czyni;
Wiatr go do świętokradcy przenosi mieszkania.
Już ziemię snem ujętą, noc płaszczem osłania
I we śnie głębokim Triopej spoczywa.
Zbliża się Głód do łoża, skrzydły go okrywa,
Zaraz trucizna usta, piersi, brzuch osiadła,
I nieprzezwyciężoną wzbudza żądzę jadła.
Głód spełniwszy zlecenia, porzuca świat żyzny
I prędko do ubogiej powraca ojczyzny.
— Jeszcze słodkim spoczynkiem krzepił Morfej miły
Dzienną pracą znużone świętokradcy siły.
Temu zdaje się we śnie, że do uczty siada,
Próżno ustami rusza, ząb za ząb zakłada,
Próżno mu w gardle żywność po żywności znika,
Nakoniec zamiast potraw, czcze powietrze łyka.
Głód staje się silniejszym, gdy go sen porzuca,
Pożera spiekłe ciało, wnętrzności i płuca.
Wyludniają dla niego las, powietrze, stawy
Żali się jeszcze na głód, choć widzi potrawy,
Po ucztach uczt chce nowych. Coby wystarczało
Dla miast, dla ludów całych, to dla niego mało.
Jak morze, co tysiączne pijąc rzeki z ziemi
Im więcej pije, tem mniej nasyca się niemi,
Jak ogień, co wzrastając z wzrostem pożywienia
Nieprzeliczone drzewa na popiół zamienia,
I tem więcej chce jeszcze, im więcej pochłonie;
Tak ty, ledwoś od stołu wstał Erysichtonie,
Znowu chcesz siąść do niego; im więcej pożerasz,

Tem większej do jedzenia ochoty nabierasz.
Już spuścił do żołądka skarby swego rodu,
Jednakże jeszcze nimi nie nasycił głodu.

20. ORFEUS I EURYDYKA.

Stąd po powietrzu w szatę świętą ustrojony
W cykońskie wybiera się Hymeneus strony,
Tam proszon orfejskiemi nadaremnie słowy,
Przybył wprawdzie, lecz ani uroczystej mowy
Ni twarzy hożej z godłem okazał szczęśliwem.
I pochodnia, którą niósł, syczała płaczliwym
Dymem, ani ruchami ognia nie nabrała.
Koniec gorszy początku; jak się przechadzała
Po łące pani młoda z Najady złączona
Straciła życie jadem w kostkę ukąszona.
Jej się rodopski prorok dość nalamentował
Na tym świecie, aby więc i cierni spróbował
Tenarską się do Styksu przebić ważył broną
I przez lekki lud i ćmę potwór pogrzebioną
Dotarł carstw króla smutnych i z nim Persefony
I tak mówi, przy pieniach uderzając w struny:
»O bogowie pod ziemią świata złożonego,
Gdzie wracamy, cokolwiek w świecie śmiertelnego,
Jeśli wolno i można, kłam zdawszy na stronę,
Wyznać, co prawda szczera, jam piekielną bronę
Nie w tym zamiarze naszedł, bym ją wyszpiegował,
Lub karki wężowłose cerberskie krępował:
Żona przyczyną drogi, którą mi zabiła
Jadem zdeptana żmija i jej wiek skróciła.
Chciałem wytrwać, powiadam, próbę niezachwiany,
Lecz Kupidyn zwyciężył, bóg ten w świecie znany,
Czyby i tu, ja nie wiem. Lecz i tu bez mała,

I jeśli wieść porwania niegdyś nie skłamała,
Was też złączyła miłość. Przez te straszno-zrzeme
Miejsca, przez srogą przepaść, przez królestwa nieme,
Odwróćcie, proszę, spieszne żony mej wyroki.
Wszak wszystko wam należy, kęs przemknąwszy zwłoki,
Później, wcześniej siedziby kres nas czeka wieczny,
Tam wszystkim cel jedyny, tam dom ostateczny.
Wy nad wszem ludem w wieczne królujecie lata.
I ta byle użyła dojrzałego świata,
Będzie waszą, zaś w darze proszę używania.
A broniąli wyroki w tem pożałowania:
Nie idę stąd. Cieszcie się z nieszczęścia dwojego«.
— Tak z przybijaniem w struny rzecz prowadzącego
Dusze bez krwi płakały. Tantal już nie chwytał
Wartkiej wody. Ixion o koło nie pytał
Wnętrza ptaki nie darły, Belidy zelżyły
Wiatrom. Syzyfus kamień odłożył niemiły.
Po raz pierwszy Jędz srogich, snać płaczem zmiękczonych
Lice łzami spływały. Owa próśb niepłonnych,
Zbić nie może, ten znowu co władnie piekłami,
Przyzywa Eurydykę. Ta między cieniami
Świeżymi będąc, ku nim przybywa leniwie.
Bierze ją też Orfeusz z tem prawem skwapliwie,
Aby się nie obzierał, aż wprzód loch podziemny
Przebędzie: dar inaczej może być daremny.
— Idą, milcząc oboje, przykro wstępną drogą,
Stromą, ślepą, ćmą nadto osłoniętą srogą.
I niedaleko byli samej ziemi szczytu,
Bojąc się by nie znikła i pełen zachwytu
Zwrócił oczy z miłości, wtem przepadła ona,
A rozciągnąwszy ręce, chcąc być pochwycona,
Lub się jego uchwycić, lekki wiatr ujmuje.
I poraz wtóry ginąc, męża nie winuje.
Pocóż? Chyba, że ją tak miłował serdecznie?

Więc, że ledwie słyszeć mógł, rzekłszy ostatecznie:
»Żegnaj mi!« raz ostatni przemawia w milczeniu
I napowrót w tym samym ukrywa się cieniu.
— Proszącego i znowu przewieźć się chcącego
Wstrzymał przewoźnik. Zaczem aż do dnia siódmego
O głodzie nieszczęśliwy trwał przy brzegu siedząc
Troski z żalem serdecznym i łzy gorzkie jedząc
Podziemne bogi srogie mieniąc, sfrasowany,
Biegł na Rodopę i Hem akwilonom zdany.

21. KYPARYSSUS.

Wielki jeleń rozścielał cień nad głową miły
Rogami rozrosłymi. Rogi złote były,
Z szyi klejnot perłowy wisiał znamienity,
Srebrny pontał na czole, misternie owity
Wstęgą, na której powiewał: miał jednakowe
U uszu koło skroni noszenia perłowe.
Który oswoiwszy się, do domów przystawał
Śmiele, i swą każdemu szyję głaskać dawał.
Ten oprócz innych, z rodu cejskiego w tej dobie,
Miłym był, najśliczniejszy Kyparyssie, tobie.
Tyś w bujne pasze, tyś go do źródła prowadził,
Czasem rozlicznem kwieciem rogiś mu osadził.
Czasem osiodławszy go, gdyś na nim harcował
Miękkąś gębę szlachetnem wędzidłem kierował.
— Był skwar i dzień w pół kresu, więc ognie słońcowe
Okrutnie piekły nogi pobrzeżne rakowe.
Jeleń okrutnie zgrzany leżał na murawie
I pod drzewem spoczywał w cieniu chłodnym prawie.
Wtem go niebaczny dzieciuch Kyparyss zastrzelił:
A widząc, że się z światem ranny jeleń dzielił,
Postanowił sam nie żyć. Co, jak mu rozważał,

Jako mu się szanować w żalu Febus kazał!
On jednak ciężko wzdycha i o to serdecznie
Prosi za dar od boga, aby płakał wiecznie.
Członki, gdy przez ciężki płacz krwi przyszło brakować,
Barwę zieloną wnet zaczęły zastępować,
Z włosów niedawno pięknych dziać się ostra kosa
Zdrzewniała i się wierzchem wybiła w niebiosa.
Bóg smutny westchnął i rzekł: »Na żal mi wychodzisz
I płakać drugich będziesz i w płaczu się zgodzisz!«

22. KRÓL MIDAS.

Nad Paktol dąży Bakchus i do winnic Tmolu.
Z nim drużyna Satyrów i Bakchantek w tropy:
Prócz Sylena. Trafił ten na frygijskie chłopy,
Winem i laty zmorzon. Ci go pochwycili,
Wieńczonego do króla Midy prowadzili.
Jemu to Orfeusz tracki powierzył świętości
Bakchowe wraz z Eumolpem z cekropijskiej włości.
Ten, skoro się dowiedział, że mu się pojawił
Towarzysz, rad gościowi bankiet pyszny sprawił,
Który dzień dziesiąty, noc dziesiąta zastała.
I już gwiazd rój Jutrzenka jedynasta gnała
Gdy się w lydyjskie pola król wesoły stawił
I Sylena młodemu wychowawcy wprawił.
Za co Bóg daru dał wybór, miły chciwemu,
Lecz szkodliwy, mistrzowi rad odzyskanemu.
On daru chciwy, na złe swe przystał żądanie:
»Proszę, cokolwiek dotknę, złotem niech się stanie!«
Przyzwolił i dar Bakchus uiścił szkodliwy
Czuł zaś smutek, że nie był lepszych rzeczy chciwy.
— Wesół Berecyntijczyk, złem się ciesząc, zmyka
I prawdy doświadczając rzeczy każdej tyka.

A ledwie sobie wierząc złamuje z ochoty
Pręt na niewielkim dębie: pręt natychmiast złoty.
Porwał kamień ze ziemi: kamień, złota bryła,
Ziemi tknął: ziemia złotem zaraz się okryła.
Kłosa uszczknął suchego: żniwo złote przyszło.
Jabłko urwał: toż jakby od Hesperyd wyszło.
Jeśli dotknął wysokich podwojów rękami,
Połyskać się podwoje zdają promieniami.
Ledwie swoją nadzieję myślą obejmuje,
Wszech złotych rzeczy pewien. Tak, gdy się raduje,
Potraw kosztownych na stół naniosła, co trzeba,
Czeladź, a osobliwie wypiekłego chleba.
Tu czyto ręce jego dary do ust brały,
Cerery dary zaraz kruszcem się stawały,
Czy zębami chciał jadło przetrącić chciwemi,
Jadło w zębach blachami chruściało złotemi.
Czy też wino rozpuścił czystemi wodami
Wnet złoto rozpuszczone lało się ustami.
Wpadł w rozpacz i bogatym i nędznym się widzi,
Skarbów pragnie uniknąć, życzeniem się brzydzi,
Mrze z głodu choć bogaty, gardło suche męczy
Pragnienie i przeklęte złoto głupca dręczy.
Zaczem złożywszy ręce do góry z ramiony:
»Odpuść, rzekł, ojcze Bakchu! zgrzeszyłem szalony,
Jednak, proszę, zmiłuj się, zbaw z szwanku świetnego«.
Bakchus, łaskawe bóstwo, grzech swój znającego
Rozgrzeszył i przez szczerość zniósł złowieszcze dary.
I by z gruntu wolny był od złotej przywary:
»Bież, rzekł, do przyległego kraju Sardom sławnym
A idź brzeżnym pochodem, wodom w oczy spławnym
Aż do źródła przybędziesz, gdzie najsilniej bije,
Tam wsadzisz głowę, tak grzech, jak ciało się zmyje«.
Wszedł król do wód wskazanych. Moc złota osiadła
Rzekę i w strumień z ciała człowieczego wpadła.

Po dziś dzień starej żyły nasienie trzymając,
Lśnią się niwy, od złota białe skiby mając.
— Ów, bogactwy wzgardziwszy, pól się jął i lasów
I Pana, co w jaskini z dawnych siedział czasów.
Głupi rozum pozostał i co szkodliwości
Miało przydać, umysłu głupiego wnętrzności.
Ponad morzem Tmol stromy na wstępie wysokim
Jednym w niebo i drugim rozciągniony bokiem
Stąd z Sardes, stąd z Hypepy graniczy małemi.
Gdzie gdy się przed Nymfami spisuje młodemi
Z graniem i na woskowej coś Pan dudce skrzeczy
Powiada, że pieśń Feba jest zawsze od rzeczy,
W spór się pod sędzią Tmolem z nie swym równym wprawił.
Sędzia stary na górze własnej się postawił,
Z drzew uszy pouwalniał; samym okrążywszy
Włos dębem, a żołędzią skronie zastąpiwszy.
Więc na bożka bydełka swym skinąwszy okiem:
»Oto, rzekł, sędzia zasiadł«. Pan się jął drzeć skokiem,
I błahem terlikaniem, (bo przy tej był sprawie)
Olśnił Midę. Po tego Tmol święty odprawie
Zdał twarz do ust Febowych: las się też sposobił.
Feb żółtą głowę laurem parnaskim ozdobił,
I płaszcz karmazynowy opuścił do ziemi
Cytrę strojną perłami i zęby słoniemi
W lewą wziął, prawa ręka smyczkiem kierowała,
Sama postawa mistrza swego wydawała.
Uderzył mądrze w struny; ich słodyczą zdjęty
W kąt kazał z dudką Panu przed cytrą Tmol święty.
Myśl i sąd góry świętej wszem się podobała:
Tylko niesprawiedliwa, krzywa się widziała
Midasowi samemu. Lecz po takiej sprawie
Feb nie da uszom głupim trwać w człeczej postawie,
Na długość je wyciąga, mchem białym napawa
W dole władzę ruszania i niestałość dawa.

Człek zresztą cały został; tak tylko skazany
Że w uszy leniwego osła przyodziany.
— Ów przez wstyd haniebny, ile mógł, ochraniał
I skronie szkarłatowym kołpakiem zasłaniał.
Lecz sługa, co strzygł króla, dojrzał jego sromu.
Tej brzydoty powierzyć nie mając nikomu
A chcąc wypaplać, ani zmilczeć mogąc o tem,
Idzie więc w ustroń i kopie ziemię, a potem,
Z uszami swego pana wypatrzył jakiemi,
Znać daje i podszeptem oznajmuje ziemi.
Wskok potem zasypuje zjawioną nowinę
Chyłkiem umyka prędko zagrzebłszy dołczynę.
Gaj tam gęsty powiewną trzcinę jął wydawać
A ten w roku zupełnym gdy począł dostawać,
Siewcę wydał. Rzecz bowiem szepce pogrzebioną
O uszach pańskich głosi, ile wiatry wioną. —

23. ŚMIERC CEUKSA.

Wyszli z portu, a w liny wiatr dmie opuszczone;
Marynarz w bok zawraca wiosła zawieszone,
Rogi w wierzch drzewa sadzi, po maszcie rozwiera
Płachty, któremi wiatry szumiące zabiera.
Albo mniej, albo więcej, w pół morza chodziła
I od stron obu lądów nawa w równi była.
Gdy się morze falami zabielać ku nocy
Jęło, Eurus wichrzysty dąć zaczął. Więc z mocy
Sternik krzyczy co z gardła: »Rogi opuszczajcie
Na dół i żagle wszystkie na reje zbierajcie!«
Tak woła: a przeciwny głuszy wicher słowa
Huk morza wadzi, w posłuch aby nie szła mowa.
Chętnie jednak próbują ci z wiosły umykać,
Ci bok warować, owi wiatrom żagle zmykać.

Wodę inny wylewa, morze w morze leje,
Ten reje rwie. Co, gdy się, nie jak trzeba, dzieje,
Burza sroga moc bierze, zewsząd uderzają
Razem wiatry i morze gniewliwe mieszają.
Sam w rozpaczy, że nie wie, co się dzieje, słowy
Wyraźnemi znać daje sprawca okrętowy.
Ani więcej, coby chcieć lub kazać, rozumie:
Taki gwałt złego, tak z nim poradzić nie umie.
Zagłuszają, lud wrzaskiem, powrozy turkotem
Woda wylewem strasznym, eter w górze grzmotem.
Morze się w górę piętrzy i zda z niebiosami
Równać i górne zlewać obłoki wodami.
I gdy żółte ode dna wydobywa piaski
Równe lub jak Styx czarne okazuje blaski.
To spada i bieli się morskiemi pianami.
— Za temi trachońska łódź tańczy przemianami,
Raz zda się, jakby w przepaść jaką miała z góry
Zajrzeć wysokiej lub też w acherońskie nory;
To gdy zrzuconą morska fala opasała
Jakoby z najgłębszego piekła wyjrzeć miała.
Nieraz bok strasznie trzaska bałwanem trafiony,
Ni mniej słyszeć się daje, jak taran szalony
Ni mniej jak kusze twarde, gdy się na mur miecą.
A jako zażarłszy się ślepym pędem lecą
Lwy srogie na oręż i pociski złożone.
Tak woda puściwszy się na wiatry szalone
Szła na statki wyniosłe, i w górę się darła.
Boki zatem puszczają: dziura się otwarła
Wosk zerwawszy i fale śmiercionośne sieje.
— Oto się deszcz srogi z chmur rozwartych leje,
Rzekłbyś, że się na wszystko morze niebo składa,
Lub na wysokie niebo wszystko morze wsiada.
Żagle mokną, z niebieskim morskie nawałności
Mieszają się bałwanem. Eter bez światłości

Noc ciemna w ćmach właściwych i burzliwych gaśnie.
Jednak je rozbijają, rozświecają jaśnie
Pioruny: ogniem wody piorunowym płoną.
Fala wciąż w nawę samą wpada wydrążoną;
A jak rycerz odważny z zastępu całego
Gdy do murów szturmuje miasta zawartego
Nie traci nic nadziei, a z sławy miłości
Sam jeden mur zajmuje z tysiącznej ilości;
Tak gdy w wysokie boki srogie fale biły,
Wielkiej dziesiąty bałwan wnet wydobył siły,
Który do wątłej nawy tak długo szturmował
Aż, jakby go zdobywał, okręt opanował.
Więc jedni się do nawy ubiegali srodze
Drudzy już wpadli w morze. Wszyscy w takiej trwodze
W jakiej to miasto bywa, gdy ci kują dziury
Od pola, owi wewnątrz podtrzymują mury.
Rozumu już nie staje; mózg się w głowach kręci,
Ile fal, tyle się zda następować śmierci.
— Więc ten w płacz, ów osłupiał, ów w niebo wynosi
Tych, co dawno skończyli; bogów drugi prosi,
Ku niebu niewidnemu ręce darmo składa.
Owemu matka, ojciec, brat na myśl przypada.
Temu dziatki, domostwo i co kto zostawił.
Ceuksa Alkyone trapi; Ceuks prawił
O Alkyonie samej; jej pragnąc jedynie,
Rad jednak, że z nim nie jest. Ku swejby dziedzinie
Rad spojrzeć, nie wie, gdzie jest. Tak się morze wije,
A całe się za ćmą chmur czarnych niebo kryje.
— Obraz nocy się zdwoił. Maszt wichru dżdżystego
Natarciem się pokruszył i ster był syt złego;
Więc dumna z łupów fala, jakby wygrać miała,
Wydrążywszy się kłębem, innymi wzgardzała;
Nie lżej, jak ktoby Pinda lub Atona mężnie
Z siedziby ruszył, w morze rzuciwszy potężnie.

Leci na dół gwałtownie, uderzeniem, wagą
Łódź topi. A z nią ludzi część okrutną plagą
Szli na dno, ani duchów powietrzu oddali.
Sztuk się drudzy i członków nawy pochwytali.
Sam, w której ręce berło trzymywał, piastuje
Ceuks galery kawał, próżno przywołuje
Ojca, teścia na pomoc! Lecz z wszystkich jedyna
W uściech mu Alkyone. Tę wzywa, wspomina,
Pragnie, by przed jej oczy wiatr popędził ciało
Jego, by pogrzeb słuszny z rąk najmilszej miało.
Gdy pływa i cokolwiek fala go odkrywa
Alkyonę i w wodzie, bełkocząc, nazywa.
Oto w środku fal czarny zakręt się rozwalił
Wód czarnych, temiż głowę znużoną zawalił.
Jutrzenka była ciemna, nie poznałbyś wcale
Czy weszła owej nocy; (więc napróżno żale),
Gdy jej nie wolno było opaść na dół z nieba
Twarz skryła za chmurami, bo tak było trzeba.

24. CEUKS I ALKYONE.

Tymczasem o nieszczęściu nie wiedząc rachuje
Nocy córka Eola. Ubiory gotuje
Które on za powrotem, które przyodziewa
Sama, codziennie próżno męża się spodziewa.
Wszystkie kolejno bogi kadzidłem raczyła
Osobliwie Junony kaplice ważyła
I za męża, co nie był, ołtarz hodowała
I by zdrów był, by wrócił, modły odprawiała.
By nawet innej nie chciał. Toż to jedno było,
Z wielu życzeń możliwe, co się wydarzyło.
— Bogini, aby modłom, kres położyć męce,
I aby od ołtarza biedne wstrzymać ręce,

Rzekła: »Orędowniczko wierna, Tęczo, moja,
W pałac Snu, sprawcy ciszy, stanie noga twoja,
Temu mów, niech pod martwą Ceuksa postawą
Pośle do Alkyony sny z prawdziwą sprawą«.
Rzekła. Tęcza natychmiast stroi się w zasłonę
Tysiącznych barw i łukowem skrzywieniem stronę
Niebieską oznaczywszy, mknie pod króla skokiem
Nakazanego dachy zakryte obłokiem.
— Jest blizko Cymmeriów loch wielki, ustronny,
Góra dęta, dwór Snowi i gmach ulubiony,
Gdzie słońce nie dochodzi promieniami ranne
Ni w południe, ni w wieczór. Z ziemi pomieszane
Z mgłą drą się chmury, mroki światła wątpliwego.
Nie budzi tam ptak czujny, nosa czubatego,
Pianiem zorze, ni ciszy głosem przerywają
Psy czujne, nawet gęsi, co słuch czulszy mają.
Ni zwierz, ni bydło, ni dmą gałęzie zachwiane,
Rozprawy tam języków ludzkich niesłyszane.
Cisza niema w nim mieszka. Lecz niepomnych bije
Wód źródło pośród skały, przez tę gdy się wije,
Sny smaczne buczącemi stroi kamyczkami.
Maku bez miary kwitnie przed jaskini drzwiami
Ziół ilość niezliczona, z ich mleka sny zbiera
Noc mokra i po ciemnej ziemi rozpościera.
Furty, by snać zawiasy nie skrzypiały, w domu
Nie znajdziesz; odźwiernictwa nie zdano nikomu.
Wśrodku lochu z hebanu łoże znamienite,
Puchowe, barwne, kołdrą żałobną przykryte;
Na niem sam bóg spoczywa, omdlały z choroby.
Koło niego przybrane w różne Sny osoby
Zewsząd leżą bez liku: ile żniwo niesie
Kłosów, brzeg ile piasków, liścia ile w lesie.
— Gdy tam weszła i ręką dziewoja zrzuciła
Sny przeciwne, świetną się szatą rozświeciła

Łożnica. A gnuśną bóg ciężkością dźwigając
Oczy marzące, raz się poraz obalając,
A brodą w wierzchnie piersi w drzymiącym sposobie
Uderzając, w końcu raz senność odjął sobie
I na łokciu się wsparłszy, coby tu działała,
(Bo ją poznał), jął pytać. Ta odpowiedziała:
»Snie, spoczynku wszechrzeczy, najłaskawszy boże,
Serc ochłodo, z którym być frasunek nie może,
Który ciała ciężkiemi pracami przejęte
Łagodzisz i odsyłasz na prace poczęte,
Snom, którym prawe kształty wyrównywać płaci,
Każ w herkulskiej Trachinie, w królewskiej postaci
Stawić się Alkyonie, w topielca osobie.
Jestto wola Iunony«. Tak począwszy sobie
Wnet Tęcza powracała; bo siły nie miała
Moc senną dalej wstrzymać. I kiedy widziała,
Że sen członki ogarniał, pospieszyła zgoła,
I wróciła, przez które zeszła pierwej koła.
— A ojciec Morfeusza z ogromnego gwałtu
Synów budzi, sztucznego stroiciela kształtu.
Chodów nadeń wskazanych trafić nie gotowy
Nikt lepiej, też postawy i wrodzonej mowy.
On i słowa i szaty zwykłe przystosuje.
Lecz tylko zwykle samych ludzi naśladuje;
Sen drugi zwierzem, ptakiem, wężem ciągłym łudzi,
Icelon zwan u bogów, Fobetor u ludzi.
Trzeci nadto Fantasos. Ma postaci różne:
Ziemię, wodę, kij, kamień i co ducha próżne.
Królom się ci, książętom w nocy ukazują,
Lud i gmin pospolity drudzy zalatują.
Pominął ich starszy Sen: Morfeusza wprawił
W pracę, by Taumantidy poselstwo odprawił.
I zaś mdłością pieszczoną rozmarzony skokiem
Głowę spuścił i w łożu zawarł się głębokiem.

— Ów zaś bezwłocznie nocą nie trzepocąc pióry
Wypadł i w okamgnieniu wbiegł w hemońskie mury,
Gdzie odwiązawszy skrzydła, twarz natychmiast prawą
Ceuksową przybiera z wyraźną postawą.
Siny, równy trupowi, całkiem obnażony,
Taki u łoża stanął nieszczęśliwej żony.
Broda mokra się zdaje, wody pełne włosy
I te łoża się wsparłszy smutne wydał głosy:
»Poznajesz, biedna żono, Ceuksa swojego?
Czym ci się śmiercią zmienił? Patrz! Dojdziesz wszystkiego,
I zamiast męża znajdziesz cień małżeński podły.
Nie szły mi, Alkyone, twoje w pomoc modły.
Zginąłem. Ani nie myśl, byś mię ujrzeć miała.
Mą łódź Auster, gdy morzem egejskiem bieżała,
Opadł i srogim wichrem rozwalił miotaną;
I mnie, chociaż cię usta mieniły kochaną,
Nawałności pożarły. Nie są to powieści
Omylnego zwiastuna, ni płochliwe wieści:
Sam w osobie topielca obecnie przynoszę
Mej żeglugi nowinę. Wstań czemprędzej, proszę,
Płacz i żałuj, ubierz się, ani męża swego
Nie puszczaj w dolny Tartar nieopłakanego«.
Przydaje słowa nadto, które za właściwe
Męża ujść miały. Łzy się zdał toczyć prawdziwe
Rękami jak sam Ceuks skwapliwie porusza.
Westchnęła Alkyone, sen ją do łez wzrusza,
Wiatr chwyta zamiast męża i za każdym razem
Woła: »Czekaj! Gdzie idziesz, pójdziemy zarazem«.
Swych słów i twarzy męża przeląkłszy się silnie
Ocuci się i czy jest tam mąż patrzy pilnie,
Ten, który się jej przyśnił. Bo na senne słowa
Strwożona z światłem czeladź zbiegła się domowa.
Nic nigdzie nie ujrzawszy, twarz smaga pięściami,
Szaty na sobie targa, pierś bije rękami,

Warkocze splotłe zrywa; starej nawet pani
Dochodzącej przyczyny narzekania na niej:
»Już, już po Alkyonie! odpowiada słowy
Już za Ceuksem poszła! Precz pocieszne mowy!
Już on zginął na morzu! Widziałam, poznała,
A rąk i niknącego gdym dotrzymać chciała,
Trzymającą cień łudził; a cień znamienity,
Męża mego właściwy. A wiedz pewnie i ty,
Że ani on oblicza był przyzwoitego,
Ni ust, jakiemi czasu przyświecał dawnego.
Wybladłegom, nagiego, nieszczęsna widziała,
A z głowy jego woda obficie spływała.
Na tem stał, na tem miejscu«. Za śladem patrzyła.
»To właśnie było, czegom się w duchu trwożyła,
Byś wiatrom się nie zwierzał, bardzom cię prosiła.
A kiedyś już szedł na śmierć, radabym ja była,
Byś mię był wziął. Przystojniej też byłoby z sobą!
Anibym była żywa, tylko razem z tobą,
Niby nas śmierć dzieliła. Teraz w niebytności
Ginę, nieprzytomną mną tłuką nawałności,
Morze mię pochłonęło. Surowszaby była
Od morza myśl, bym żyła i z żałem walczyła.
Lecz pewnie nie pozwolę, ani cię opuszczę,
Biedny, za towarzyszkę do morza się spuszczę;
Choć nie trumna nas w dole, nagrobek połączy,
Jeżeli nie kość z kośćmi, to nas imię złączy«.
Z żalu nie mówi więcej. A co powie słowo,
W pierś kołace i wzdycha do serca surowo.
— Rano było; ta na brzeg z pałacu wychodzi,
Gdzie za nim spoglądała, swoje kroki wodzi.
Tam jakby się bawiła, sobie wspominając,
»Tu też wypływał, tu mię całował wsiadając«,
Spogląda, w głębi dojrzy czegoś, jakby ciało
Opodal; zrazu nieznać było, co pływało.

Aż, gdy go przypędziła powoli z daleka
Woda, trup się dał widzieć jakiegoś człowieka,
Nie znać czyj, lecz topielec. Wróżba ją ruszyła,
Niby do nieznanego z litości prawiła:
»Ktośkolwiek nieszczęśliwy, jeżeli masz żonę...!«
Ciało tymczasem fale pędzą na jej stronę.
W które im pilniej patrzy, tem bardziej się mąci
Jej rozum. Ciało omal o ziemię nie trąci,
Przybliża się i naraz przychodzi poznanie,
Obaczy, oto płynie jej serca kochanie.
Krzyknie, »On jest«. Twarz, włosy, szaty drze na sobie,
I do Ceuksa ręce wyciągnąwszy obie
Z żałością wielką mówi: »Przyjacielu drogi!
Takiż to do mnie przyjazd twój z dalekiej drogi?«
Stoi przy morzu samym ręką mur stawiany,
Ten morskie przednie wody strąca i bałwany
Wodne najłatwiej kruszy. Tam tedy wbieżała,
Dziwne, że się stać mogło, poprostu wzleciała.
Swe rozpuściwszy na wiatr piórka samorodne
Ptaszek żałosny tarł się o powierzchnie wodne,
Który, gdy leci, głosik niby żałościwy
Pełen skargi wydaje przez dzióbek wrzaskliwy.
Ten niemego dopadłszy ciała i zimnego
Otoczywszy śnieżnemi piórki najmilszego,
Twardym dzióbem na zimno daremnie całował.
Czy czuł, czy poruszane falą pokazywał
Lice Ceuks, wątpiono. Ale czuł, jak trzeba.
I w ptaki się zmieniają, za litością nieba
I w nich przygodom tymże trwa miłość oddana,
Ani w ptakach małżeńska miłość rozerwana.
Serdecznie się, jak dawniej lubują i mnożą
I przez siedm spokojnych dni, jak się zimna srożą
W gniazdku słanem przy morzu Alkyone siada.
W ten czas na morze każdy niech bezpiecznie wsiada.

Wiatrów pilnuje Eol; wypaść nie pozwoli,
I w ciszy morze trzyma wnuczkom swoim gwoli.

25. GRECY W AULIDZIE.

Nie wiedząc ojciec Priam, że w skrzydła przybrany
Esakos żyje, płakał; a grób mianowany
Hektor z braćmi obchodem daremnym odprawił.
Na tak smutną posługę Parys się nie stawił,
Co wprędce żonę cudzą uniósłszy, przeklęty
Bój wniósł w ojczyznę; a szły tysiączne okręty
Za nim owa rzecz grecka wszystka pospolita.
Spotkałaby go była w lot zemsta sowita
Gdyby huk wiatrów srogich morza nie zamącił
I galar kraj beocki do Aulis nie wtrącił.
Gdzie Jowiszowi zwykłe ofiary składali
I na starym ołtarzu ognie rozpalali.
Wtem widzą Danaowie, jak wąż się modrawy
Pnie po jaworze obok wszczętej boskiej sprawy.
Miał z ośmiu ptaszętami gniazdo wierzch drzewiny.
Ptaki razem z macierzą koło swej rodziny
Latającą wąż schwycił i w pysk wetkał chciwy.
Zadumali się wszyscy. Aż prorok prawdziwy
Testoryda się ozwał: »Bądź wesół Greczynie,
Nasza pewnie wygrana, wielka Troja zginie:
Trud tylko będzie długi, praca to nielada«.
Dziewięć ptactwa na lata wojenne rozkłada.
A wąż, skoro zielone rożdżki oplótł sobą,
Jako kamień pozostał pod węża osobą.
— Nereus po aońskich wodach srogi broi
I nie przenosi wojny. Mówiono, że Troi
Miał oszczędzać Neptunus, że jej mury składał;
Inaczej Testoryda. Ten czuł i powiadał,

Ze błagać gniew panieński krwią panieńską trzeba.
A gdy zbożność przemogła ojczyzny potrzeba,
Król zmógł ojca i przyszła przed ołtarz uczciwą
Krew lać Ifigenia z czeladzią płaczliwą.
Przejednana bogini, sama zarzuciła
Oczy obłokiem i jak sprawa się toczyła
W pośród ofiarnej ciżby modlącej się za nią,
Micenkę przemieniła, podrzuciwszy łanią.
Tak, gdy przyzwoitą krew bogini przyjęła,
A Diany furya i morska stanęła,
Wiatry tysiąc okrętów za sobą przyjmują
I natłukłszy się w piaski trojańskie wstępują.

26. ACHILLES I CYKNUS.

Jest w pół okręgu miejsce wśród nieba górnego,
Morza, ziemi, granica świata trojakiego;
Skąd oko ludzkie w strony najdalsze donosi
I głos wszelki do uszu dziurawych się znosi.
Tam mieszka Wieść. Więc pokój na strychu obrała
Masę wejść, dziur tysiące w dachu wykonała.
Progi żadnej nie mają brony zachodzącej.
We dnie, w nocy otworem. Sama z miedzi brzmiącej
Wszystko mówi, rokuje, prawi, co usłyszy.
Wewnątrz nie ma spokoju, kąta nie ma w ciszy.
Choć nie ma wrzasku, tylko szemranina głucha,
Jaka z morza pochodzi, kto z daleka słucha.
Lub gdy Jowisz pobudza czarnych chmur łoskoty
I ostatnie na niebie dźwięk wydają grzmoty.
Po salach ciżba sroga: wchodzą i wychodzą
Chasy marne, z prawdą się brednie stadem wodzą.
Nowin bez liku: słowa mieszane latają,
Jedni gadkami uszy próżne napawają,

Ci nowiny przynoszą, plotek w mig przybywa
I starym nową łatkę nowiniarz przyszywa.
Tak bawi Łatwowierność, tam Błąd uporczywy,
Tam daremne Wesele, tamże Strach lękliwy,
Tam Rozruch nagły, Szepty sprawcy wątpliwego.
Sama, cokolwiek w niebie zdarzy się takiego,
Co na ziemi i morzu, pilnie upatruje
I na wsze świata strony nowin poszukuje.
— Ta naprzód rozwołała, że zastęp dobrany
Niosły greckie galary. Ani nie czekany
Nadciąga nieprzyjaciel. Brzegu i przystani
Bronią Trojanie. Tobie dostało się w dani
Padnąć, Protesilau, według przeznaczenia
Z ręki Hektora; bitew kosztują stoczenia
Wiele Greków, zabiciem człowieka dzielnego
Poznano też waleczność Hektora możnego.
Ani z bardzo szczupłej też lub z małej Frygowie
Krwi rozlewki poznali, co mogą Grekowie.
I już się brzeg sygejski we krwi srogiej pławił,
Już Cyknus, syn Neptuna, tysiąc mężów strawił,
Już Achilles wozem stał, już hufca walnego
Mężnie doganiał biciem grota pelejskiego,
I w szeregach Hektora lub Cykna szpiegował.
Padł na Cykna: ów się na rok dziesiąty schował.
Popędził raźno w jarzmie białogrzywne konie
I ku nieprzyjacielskiej wóz skierował stronie,
A mężnie potrząsając silnemi barkami
Ogromnemi dzidami, temi rzekł słowami:
»Któżeśkolwiek, junaku, czyń śmierci podziękę,
Żeś przyszedł na Achilla hemońskiego rękę«.
Tyle Achilles. Dzidę w tej chwili skierował,
A choć oszczep niechybny w niczem nie szwankował,
Grot jednak nie dokazał hartowny niczego,
Tylko, jak tępy o pierś odbijał się jego.

— »Synu bogini, bo cię takim z sławy znamy —
Ów rzekł — czy cię to dziwi, że rany nie mamy?
(Bo się Achill dziwował), ni mnie ta przyłbica
Końskim włosem przybrana, ni której lewica
Dźwiga puklerz pomocą: to tylko dla stroju.
I sam Mars z tej przyczyny broń bierze do boju
Zrzucę wszystko odzienie, a cało odejdę
Jest przecież coś za przodka mieć nie Nereidę,
Lecz tego, co Nereidy, całe morze trzyma
W swem ręku«. Rzekł i oszczep straszny rzucić ima
Do krzywizny puklerza; ów potężnym razem
Miedź przeszył i wołowych skór dziewięć zarazem,
W dziesiątej się osadził. Achill go wydobył
I potężnie na nowo drżącej broni dobył.
Znowu nie zranił ciała. Toż rzut trzeci sprawił
Lubo się odkrył Cyknus i pierś swą nadstawił.
Zapłonął nie inaczej, jak byk w otworzonym
Szranku, gdy rogiem bodzie drażniących szalonym
Strój purpury i razy nieskuteczne czuje.
Zaczem, czy grot w istocie wypadł, upatruje.
W lasce tkwił. »Toć, rzekł, ma się ręka poszkapiła
I do jednego siłę całą uroniła.
Bo miała moc, tak gdym tłukł mury cyrnesyjskie
Lub Teneda i Teby eetionejskie,
Gdym krwią własną napawał, gdy mordem drużyny
Swej ciekł szkarłatny Kaik, mojej rohatyny
Dwakroć doświadczył Telef. Wszakże i tu wiele
Nabiłem, których stosy na tym brzegu śmiele
Powaliłem i widzę, była kiedyś zdrowa
I dziś jest ręka moja«. Te wydawszy słowa,
Jakby dziełom poprzednim nie do końca wierzył,
Dzidą w Meneta z ludu lycyjskiego zmierzył
I równocześnie pancerz przebił, wraz z piersiami.
A gdy Menet martwymi tłukł w ziemię członkami,

Achill pocisk wyciągnął z ciepłej rany chciwie
Rzekąc: »Taż ręka, toż jest oręże właściwe
Którem dokazał swego. Z temże się poważę
Na tego. Zdarz, fortuno, że tego dokażę«.
Rzekłszy, strzeli do Cykna, nie zboczyło drzewo
I niechybnie brzęknęło o ramię na lewo.
Wszakże grot, jak od muru, od skóry odskoczył.
Kędy jednak wymierzył, krew na Cyknie zoczył,
Lecz darmo się Achilles uradował. Owa
Nie była żadna rana, lecz krew Menetowa.
Więc wypadł, jakby wściekły, z wozu wysokiego,
I wręcz bronią błyszczącą tnie na bezpiecznego,
Patrzy, miecz, tarczę, szyszak na poprzek przebija
A na stwardziałem ciele żelazo się zwija.
Nie zniósł dłużej: w przeciwną twarz uwiódłszy broni
Trzy, czterykroć głowicą bije go po skroni,
Uchodzącego goni, wali, szyki myli,
Ani odpocząć daje. Strach owego chyli,
W oczach zaś pociemniało. Wtemże jak uchodzi
Na powrót, w środku pola na kamień ugodzi.
Nań wegnanego Cykna Achilles ze stali
Bije siłą potężną i ku ziemi wali.
Wnet piersi przycisnąwszy tarczą i kolany
Sznur szyszakowy ścisnął: który zawiązany
Pod brodą węzłem gardłu okrutnie dojmuje
Oddech i drogę duszy całkiem odejmuje.
Chce też go odrzeć; zbroję widzi zabitego.
Ciało Neptun wdał w ptaka, nosił imię jego.

27. ŚMIERĆ ACHILLESA.

A bóg, co morskie tonie trójzębem kieruje,
Że syn w łabędzia zmienion okrutnie żałuje
W ojcowskiem sercu swojem. Achillowi złemu

Niechętny, nad wszystkiem złem przemyśliwa jemu.
I kiedy już dziesiąty rok wojaczki się wlecze
Tak do długowłosego Smynteusa rzecze:
»O wszech moich synowców, najkochańszy, który
Biedne trojańskie ze mną budowałeś mury,
Jak ci nie żal burzonych grodów znamienitych?
Widzisz obrońców muru milion zabitych?
Czy nie pomnisz, o innych zmilczę, jak nękany
Końmi koło Pergamu Hektor pokonany?
A za to, ów okrutnik wojny chciwy, żywy
Jest Achill, czynów naszych skazca nieszczęśliwy.
By na mnie trafił, znałby, co trójzębem znaczę.
Lecz, gdy z nieprzyjacielem wręcz się nie zobaczę,
Ty uderz niespodzianie«. Natychmiast zezwoli
Delius sercu swemu i stryjowi gwoli,
I miesza się w trojańskie szyki mgłą nakryty,
Trafiwszy na Parysa, co gmin pospolity
Grecki tłucze. Że jest bóg wyznawszy otwarcie,
Rzekł: »Po co na gmin podły tak godzisz zażarcie?
Jeśli jakie staranie jest w tobie o twoich
Złóż się w Achilla, prędko pomścisz braci swoich!«
Rzekł i w Pelidę, gdy lud trojański rabował
Wskazał mu i ku niemu twardy łuk skierował,
I strzał szkodliwą ręką puścił niewątpliwy.
Czem po Hektorze Priam ucieszył się żywy.
Tak, Achillu, zwycięzco wielu, zwyciężony
Jesteś od lękliwego zwodziciela żony!
Gdybyś z rąk zniewieściałych śmierci nie miał minąć,
Termodońskim berdyszem wolałbyś był zginąć.

28. SPÓR O ZBROJĘ ACHILLESA.

Ow strach trojański, a cześć grecka znamienita
Achilles, w krwawym boju głowa nie spożyta,

Już w ogniu: a który bóg uzbroił był jego
Tenże go na proch pali. I wnet popiół z niego!
Tak z wielkiego Achilla tyle pozostało
Co ani na naczynie z popiołem nie stało!
Lecz sława żyje, która świat kołem obieży.
Ta się miara mężowi dzielnemu należy
Która, zacny Pelido, równa się nadaje,
Ani się na podziemne nie obejrzy kraje.
A, byś wiedział, czyją jest, sama tarcza stroi
Turnieje i o zbroję chwytają się zbroi.
Nie chciał jej oilejski Aiax, ni Tydydes,
Ni młodszy, ni bitniejszy i starszy Atrydes,
Ni inny się napierać. Sam syn Telamona
I syn Laerta dzielny tę pracę wykona.
Wnuk Tantala i ciężar i nienawiść z siebie
Zwalił precz; a w obozie tej gwoli potrzebie
Hetmanom argolickim wspól zasiąść nakazał,
Którym też roztrzygnięcie tej sprzeczki przekazał.
— Zasiedli hetmanowie, gmin do koła stanie,
Ku nim Aiax pan tarczy siedmiorakiej wstanie,
I jak był popędliwy, krzywo błysnął okiem
I po flocie i brzegu sygiejskim szerokiem,
Wzniósłszy ręce: «Boże, rzekł, spór przed galerami
Toczy się, a Ulisses równać się śmie z nami.
Który przed Hektorowym ogniem mężnie stronił,
O który jam się kusił i mężnie go zbronił.
Toć lepiej swary stroić zmyślonemi słowy,
Niźli dowodzić ręką? Lecz, jak ja wymowy
Mało mam, tak on serca: a ile ja szykiem
I bitwą dokazuję, tyle on językiem.
O mych czynach wspominać, każdy się ich dowie,
Nie potrzeba, Grekowie. Niech Ulisses powie,
Co bez świadka dokazał po nocnej ciemności;

Tu o rzecz wielką idzie, lecz mojej wielkości
Ujmuje nieprzyjaciel. Nie pysznie to dostać,
(Choć to rzecz wielka), przy czem chciał Ulisses zostać.
Spór taki jemu się już kosztownie nagrodził
I lubo przegra, rzekną, że w szrank ze mną wchodził.
— Gdyby dzielność ma była w wątpliwość wiedziona,
Przodowałbym zacnością, zrodzon z Telamona,
Co pod Herkulem murów trojańskich dobywał
Co do Kolchów w okręcie pagazyjskim pływał.
Temuż ojcem Eakus, co surowo sądzi
Milczących, gdzie Syzyfem kamień ciężki rządzi.
Eaka krwią własną swą Juppiter krzci wszędzie:
Tak Ajas od Jowisza w trzecim tylko rzędzie.
Lecz ten wywód, Grekowie, niech w poczet nie bieży
Gdy mi wspólnie z Achillem wielkim nie należy.
Bratem był: braterskich chcę. Precz synu niebaczny
Syzyfów, a kradzieżą, oszukaństwem znaczny,
Po co cudze imię tkasz w Eacydy domu?
Czy, żem na wojnie pierwszy, anim się dał komu
Wyprzedzić, bratniej zbroi mam być odsądzony?
A przy niej ten potężniej ma być zostawiony,
Który na wojnę przecież ostatni się zgodził,
I udając szaleństwo wyprawy uchodził?
Aż Palamedes mędrszy odkrył na złe swoje,
Fochy, jakich tchórzliwe pełne serce twoje
I wywlókł cię na wojnę? Czy, który w tej mierze
Żadnej zbroi wziąć nie chciał, najlepszą zabierze:
My, bratowizny próżni, zostaniem zelżeni.
Choć do potrzeby każdej pierwsi postawieni.
Oby szaleństwo prawdziwe lub wierzone było!
Toby pod Troi mury się nie prowadziło
Napominacza zbrodni! Ty, Peantów synie,
Nie byłbyś był zostawion w lemnijskiej krainie

Z naszą wielką sromotą, który tymi czasy,
Jak twierdzą, w jaskiniach się chowasz między lasy,
Skały wzruszasz jękami, zdrajcy godnych życzysz,
O co nie darmo, jeśli są bogowie, krzyczysz.
Ten się z nami na wojnę tę samą wybrawszy
Jeden, ach! z wodzów po Herkulu otrzymawszy
Strzały, głodny, schorzały, żywi się ptakami,
Przeznaczonemi Troi bijąc je strzałami.
Że nie jechał z Ulissem, za to dotąd żywy.
Wolałby tak Palamed zostać nieszczęśliwy,
Byłby żył, nie byłby zmarł bez sromoty, śmiele.
Tego, ach! o wykryte szaleństwa fortele,
Jakby miał być na zdradzie, Grekom spotwarzywszy,
Dowiódł, złoto pokazał, samże je zakrywszy.
Przeto, lub on wygnaniem siły greckie drobi
Lub zabójstwem: taki srogi, tak odważnie robi,
Choćby wymową cnego Nestora przechodził
W ten jednak cel, póki żyw, pewnie nie ugodził,
Aby miał ujść zarzutów, że Nestora zdradził,
Gdy nań wołał, aby się z posiłkiem przysadził,
Bo był ranny od konia, latami znękany,
Zdradzon od towarzysza! Czyn to nie skłamany:
Swiadkiem pewnym Tydydes: nie raz go zawstydził
I tchórza przyjaciela ucieczką się brzydził.
Okiem bóg sprawiedliwem ludzi nie przenosi:
Kto dać posiłku nie chciał, sam o niego prosi;
Bo wnet, jako drugiemu na nic się nie przydał,
Tak z nim samym być miało. Wyrok na się wydał.
Krzyczy: »Bracia!« przypadam, obaczę drżącego
Strachem zbladłego, przyszłą śmiercią strwożonego.
Okryłem go puklerzem, leżącegom bronił
I marnej duszy (mała to sława) ochronił.
Chcesz zawodów, na miejsce powracajmy ono:

Przywróć nieprzyjaciela, wróć, które sprawiono
Rany, wróć zwykły twój strach: leż pod mym puklerzem
I pod nim, jakim raczysz, staw mi się rycerzem.
Ledwiem go wyjął, niby stanąć nie mógł z rany,
Uciekał, żadną raną nie zahamowany.
Idzie Hektor do boju, z sobą wiedzie bogi,
Gdzie się ruszył, nie w samem twem sercu dość trwogi,
Najodważniejszym mężom jej się dostawało.
Jego w pełnej krwi rzezi krzyczącego śmiało,
Z daleka ja kamieniem silnym obaliłem.
I z chciwym pojedynku sam na sam walczyłem.
I mojemuście losowi, Grekowie, sprzyjali
I modłami waszemi prawie ratowali.
Jakie mię szczęście wiedzieć czy chcecie spotkało,
To, żem niepokonany rozszedł się z nim cało.
Niosą z Troi Jowisza, miecz, ogień gwałtowny
Do greckich naw; kędyż jest Ulisses wymowny?
Jam bronił tysiąca naw, nadzieję powrotu.
Za tyle statków tego użyczcie klejnotu!
Jeśli mam prawdę wyrzec, dla niej chcę uczczenia
Nie dla siebie, wypływa sława ze złączenia,
Aiasa broń ta pragnie, a nie Aias broni
Niech też swoje uczynki Ulisses wydzwoni!
Niech porówna Dolona z Resem niebitnego
I z porwaną Palladą Hellena wziętego.
W jasnym dniu nic nie czynił, nic bez Diomeda.
Jeśli chcecie tym jego odwagom nielada
Broń tę przyznać, na poły raczej ją rozłączcie
I część Diomedowi co lepszą przysądźcie.
— Co Ulissesowi po niej, co goły i zdradnie
Chodząc nieprzyjacioły nieostrożne kradnie?
Sam złoty co z szyszaka świetnego blask bije,
Sadzącego się wyda i zdrajcę odkryje.
Ani łeb dulichijski ciężaru nie zniesie

Achillesa szyszaka, ni ciężkie zejdzie się
Z jego lichemi drzewo pelejskie ramiony,
Ani świata okręgiem puklerz ozdobiony
Z bojaźliwą się zgodzi i złodziejską ręką.
Precz, szujo, godzisz na dar, który tobie męką?
Gdyby go tobie Grecy użyczyli w błędzie
Marny z ciebie przeciwnik, lecz łup dobry będzie.
I tchórzliwość, co sama tobie dobrze płuży,
Strój włóczącemu taki wadliwie posłuży.
Dodaj, że twa tarcz rzadko w potrzebie bywała,
I cała: razów moja nie tysiąc dostała,
Dlatego po niej innej następczyni trzeba.
Ale co nam po swarach? Niech zajdzie potrzeba!
W środek nieprzyjaciół wszystko porzucajcie
Każcie zdobywać i to lepszemu przyznajcie!«
Skończył syn Telamona, szmer był pospolity
Dotąd, aż syn Laerta powstał znamienity
I z oczyma na chwilę w ziemię wlepionemi
Podniósł się ku hetmanom, potem czekanemi
Dźwięki usta rozwiązał, a rzecz wielka była,
Bo słowom krasomowczym przyjemność służyła:
»Gdyby życzenia nasze były ceny jakiej,
Walki wątpliwy dziedzic nie powstałby takiej,
Tybyś broń, mybyśmy cię Achillu, trzymali.
Lecz skoro ja i my go z żalem pożegnali —
(Zapłakane w tem jakby otarł sobie oczy) —
Który na ślad Achilla przystojniej podskoczy
Jak ten, przez kogo greckie doszły go zastępy?
Niech mu nie pomaga, że zda się, jak jest, tępy,
Mnie dowcip niech nie wadzi, wam korzystny: taka
Wymowa też, Grekowie, jeśli we mnie jaka,
Co dziś o pana, o was wiele raz mówiła,
Krom zazdrości, kto raczy, niech swe mieni dzieła.
Ród bowiem i pradziady, co nie z nas pochodzi

Ledwie za naszą własność poczytać się godzi.
Jowiszem się pradziadem Aias szczyci swoim,
W taki sam sposób Jowisz pradziad w rodzie moim.
W poczcie stopniów jednakim obydwa od niego,
Laertes mój rodziciel, Arcesius jego,
Tego Jowisz; wygnany nikt, nikt wywołany.
Owszem jest drugi klejnot przez matkę przyznany
Merkury. Tak w mym rodzie bóg stanął dwojaki.
Lecz nie walczę, żem rodem macierzystym taki
Nie, że ojciec krwi bratniej nie skalał. Przykażcie
Zostać się przy rynsztunku: z zasług rzecz uważcie,
Byle, że z Telamonem Peleus bracia byli
Aiasa nie wspierało, pochodzenie myli!
Sam męstwa zaszczyt niechaj w tej broni wynijdzie.
Jeśli zaś o blizkość lub dziedzica idzie
Jest rodziciel Peleus, syn Pyrrhus ku temu,
Aias co do tego ma? Do Ftyi tamtemu
Lub broń do Scyru posłać. Teucer jest stryjecznym
Bratem. Z prawem się jednak nie garnie dziedzicznym?
A gdyby żądał, nie wskok pewnieby go doszło.
— A że to zajście wskutek dzieł mężnych urosło,
Więcej ja dokazałem, niż wydołam słowy
Wywieść: rzeczy porządek zachowam takowy.
Tetys, iż śmierć synowską przyszłą przeczuwała,
Opatrzyła go strojem, wszystkich oszukała
Aiasa nawet, sztuką zdradliwego kroju.
Ja broń do niewieściego namieszałem stroju,
Aby to wszystko wnet myśl męską poruszyło.
I jeszcze dziewicze na nim odzienie było,
Gdym rzekł tarczę i dzidę mu piastującemu:
»Synu bogini, męstwu gród pergamski twemu
Się zachowuje! Dalej, zburz raz możną Troję!«
Takem uwiódł mężnego i stawił na boje.
Stąd jego dzieła, moje. Jam włócznią przemierzył

Telefa i znów leczył, gdy czołem uderzył.
Mych dzieło rąk, leżące Teby zwojowane,
Cylla, Tened, Lezb, Chryze mą sprawą zabrane
Apollinowe miasta, Scyrus moją sprawą
Moją lyrnejskie muzy rozrzucone prawą.
Mijam inne; tegom dał, od kogo zabity
Mógł być Hektor: przez mnie legł Hektor znamienity.
Za tamtę broń, w której się znalazł Achill, proszę
O tę, żywemu daną: niech ją po nim noszę.
— Skoro jednego boleść wszech Greków obeszła,
Cała flota w Aulidzie eubojskiej się zeszła,
Wiatry długo czekane lub przeciwne wiały
A na Agamemnona losy nalegały
By córkę ofiarował złej Dianie gwoli.
Ojciec przeczy i bogów sprzeciwia się woli,
Lubo król, przecież ojciec. Jam umysł takowy
Nakłonił na pożytek pospolity słowy.
Niech wybaczy Atryda, że z nim mówić będziem,
Trudnej sprawy pod trudnym podjąłem się sędziem.
Owa walna potrzeba i które sprawował
Berła, i brat poruszył, że z krwią cześć zmiarkował.
Jam do matki wyprawion, nie napominania
Rzecz ta potrzebowała, ale oszukania.
Gdyby szedł Aias, łodzie dotychczas przy brzegu
Stałyby były, na wiatr czekając do biegu.
— Byłem posłem na zamek i widziałem Troję.
Odważnie wszedłem w pyszne trojańskie pokoje
Pełno tam ludu było. Poselstwom sprawował
Smiele, jakiem od Greków w poruczeniu chował.
Winę Parysa, sprawę Heleny poruszam,
Priama i z Priamem Antenora wzruszam.
A z braćmi Parys i ci, co ją z nim porwali,
Wiesz dobrze Menelau, rąk ledwie wstrzymali,
Pierwszy ów dzionek moich pełen był przykrości.

Wszystkiego przypominać nie chcę dla krótkości:
Jakom wiele, jak ręką, jak głową przystojnie,
Z pożytkiem wielu w długiej dopomagał wojnie.
Więc po pierwszej potrzebie, nieprzyjaciel w swoim
Murze zamknięty siedział: ani wstępnym bojem
Mogło się z nim rozprawiać aż w dziesiątem lecie.
Cóż ty czynisz, co nad bój nic nie umiesz w świecie?
Na coś się przydał? Pytaj, co wtedy sprawuję?
Nieprzyjaciół ja sidlę, okopy waruję
Towarzyszów pocieszam, aby frasobliwe
W tęsknocie długiej wojny, było wnet cierpliwe,
Uczę, jako się zbroić, jak zasięgać chleba,
Bywam nakoniec syłan, gdzie zajdzie potrzeba.
Oto król upomnieniem boskiem omamiony
Wojny zaczętej koniec nakazuje płonny,
Temu najłatwiej sprawcą radę morzyć swoję.
Niech mu to gani Aias, niech burzyć chce Troję,
Ile może, niech walczy! Ruszających w drogę
Nie wstrzymuje? Przez zbroję nie bije na trwogę?
Niech co czyni, błędny lud czy przystał ku niemu?
Te rzeczy mnie należą hardzie mówiącemu.
Sam uciekał. Widziałem i dziwniem się wstydał,
Kiedy zmykał i sprośnie wiatrom żagle wydał.
Ja krzyczę: »Co za rozum, co, przebóg, działacie?
Towarzysze, tak wziętej Troi odbiegacie?
Co w lat dziesięć niesiecie do domu? Wstyd wieczny?«
Temi, takiemi słowy, w które mię serdeczny
Żal wymownym był sprawił, cofnąłem idących.
Otworzyć Telamona syn nie umiał gęby.
Odważył się królowi psie ukazać zęby
Terzytes, niewstydliwy, przezemnie skarany.
Ja się silę, zachęcam wylękłe mieszczany
Przeciw nieprzyjaciołom, strach wypędzam z głowy
I świeżo utracone męstwo krzeszę słowy.

Odtąd też wszystko, czem się Ajas popisywał,
Moje jest, bom go wrócił, gdy w dom się wyrywał.
— Nadto kto z Greków chwali, albo szuka ciebie?
Mnie w radę syn Tydeusa przybiera do siebie,
Mnie chwali, w wspólności poufale staje,
Wielkiem to, z samym jednym Ulissem przestaje
Z niezmiernej rzeszy greckiej! Ni mnie los gnał srogi:
Nieprzyjacielskie jednak, nocne także trwogi
Minąwszy tego, który to, co i my robił,
Frygijskiego narodu Dolona jam dobił.
Wprzód jednak tajemnice wszystkie mi spowiadał,
Z niegom, co zdradna Troja knowała, wybadał.
Wszystko poznałem, żem mógł i szpiegów zaniechać,
Mogłem i z obiecaną chwałą do dom jechać.
To jeszcze nic, o hordę kuszę się Resowę
I z ludem pod namioty biję go na głowę.
I na dostojnym wozie, dokazawszy męstwa
Wjeżdżam w triumfie kształtem zacnego zwycięstwa.
Czyich nieprzyjaciel nasz domagał się koni
Za nocny czyn, wy jego odmówcie mi broni,
Niech ją Ajas ma lepszy! Nie będę wspominał,
Com w wojsku Sarpedona mieczem swym poczynał?
Gdzie w krwi srogiej legł Ceran, syn Ifita, Chromius,
Alastor i Alkander, Prytanis, Halius,
Nemon, Chersidamant zabity z Toonem
Charops z nielitościwie ległym Ennomonem,
I inni niezliczeni, którzy imionami
Nie znakomici z mych rąk padli pod murami.
Oto i sam ran pięknych dostałem bez miary.
Jeśli czczym moim słowom nie dajecie wiary,
Patrzcie! (rozpiął tu szatę). To są piersi one
W waszej potrzebie każdej dobrze doświadczone.
Ajas nie upuścił krwi nic za lat tak wiele
Za życia towarzyszów, rany nie ma w ciele.

A gdy się zbytnio chwali, że dla greckich łodzi
Na Jowisza z Trojany stanął? Jak się godzi,
Przyznaję. Nie myślę dzieł mężnych zniżać marnie.
Ale przecież wszystkiego niech na się nie garnie
I wam czci niech cokolwiek odda w takiej sprawie.
Odpędził od naw Trojan z obrońcą w postawie
Achilla wnuk Aktora, gdy już spłonąć miały.
Drwi, że i na Hektora sam tylko był śmiały,
Króla, hetmanów i mej zapomniawszy strony,
Dziewiąty był, a darem losu przeniesiony.
Czegoś więc dokonała, bohaterska głowo?
To, a nic więcej: z boju Hektor odszedł zdrowo.
— Z jakim, niestety, żalem czas ów wspomnieć muszę
Gdy grecki mur legł, Achill, i bogom dał duszę.
Nie opóźnił mię postrach, ni żal, ni łzy moje,
Porwałem z ziemi ciało na ramiona swoje.
Temi, mówię, ramiony poległemum sprostał
I broni, którą niosłem: proszę, bym ją dostał.
Jeszcze jest we mnie siła, która dźwignąć umie
I serce, które dobrze cześć waszą zrozumie.
I po to się modra matka troskała bez miary
O syna, by niebieskie, znamienite dary
Durny wojak pochłonął? Który nic nie umie,
Bo ani sztuk na tarczy wyrytych rozumie,
Nie zna morza, ni ziemi, gwiazd nie zna i nieba,
Plejad, Hyad, Arktosa, co wód mu nie trzeba,
Dwóch niedźwiedzi, świetnego z szablą Oriona.
(Mrze na oręż, choć nie wie, czem przyozdobiona).
Gdy mię wciąż, żem się wojnie uchylał, winuje
Żem później w pracy stanął, czy tego nie czuje
Że na tem Achillowa cna cierpi osoba?
Hańbą zmyślanie zowiesz, winniśmy więc oba;
Jeżeli zwłoka winna, jam przecie przodkował.
Jam żonie miłej, matce Achilles folgował.

Im to dany czas pierwszy, wam następny dany.
Ani mię strach, gdy z takiej nie wybrnę nagany
Wspólnej z tak zacnym mężem. Ten też Ulissowym
Złapan dowcipem, lecz nie Uliss Ajasowym.
Ani mu się dziwujmy, że mi grubych nadał
Obelg, gdyż i wam rzeczy wstydu godne zadał.
Więc sromotna fałszywie Palameda winić?
A zaszczytnie z nim, coście wykonali, czynić?
Lecz i sam Naupliada występek takowy
Widoczny mógł uchylić, uniewinnić słowy:
Żałobyście na niego żadnej nie słyszeli,
Lecz pieniądze za dowód dostateczny mieli.
I że Filoktet mieszka w wulkanowym Lemnie,
Sami się brońcie, wina nie pochodzi ze mnie;
Zgodziliście się wszyscy i jam się przyłożył
By na czas pewien trudy i wojnę odłożył,
By raczej wypocząwszy srogą boleść sobie
Chciał skrócić. Przystał na to i w tej żyje dobie.
Tu nie tylko rada ma wierną się wydaje,
Lecz jest jeszcze szczęśliwa, wiernym mnie znać daje.
Ponieważ go z wyroków na zagładę przyjdzie
Troi zwieźć, nie ślijcie mię, niech sam Ajas idzie.
On wymową, zgryzłego głodem i chorobą
Zmiękczy i jak lis szczwany przyprowadzi z sobą.
Simois cofnie się pierwej, Ida las utraci,
Troja za posiłki wprzód Achajom zapłaci,
Niż, gdzieby w sprawach waszych pierś moja ustała,
Durnia takiego pomoc na co wam się zdała.
Bądź, Filoktecie twardy, jak mnie, tak królowi
Nieprzyjacielem: każdemu bądź towarzyszowi,
Łaj już, złorzecz, klnij głowę jak najbardziej moją,
Proś już bogów, na rękę bym się dostał twoją,
Byś mi na gardle usiadł, jako ty mnie sobie
Życzysz, bym ci wpadł w ręce, takbym ja rad tobie.

Ja sam pójdę po ciebie i wyciągnę z sobą.
I tak użyję twych strzał (zdarz szczęście!) pod tobą,
Jakom zabrał proroka dardańskiego w kroki,
Jakom Troi zagładę zwieścił i wyroki,
Jakom doszedł obrazu trojańskiej Pallady,
Choć wartowały zbrojne dokoła osady.
I jak tu się śmie Ajas sile równać mojej?
Bez niego snać wyroki wziąć broniły Troi.
Gdzież jest tu mężny Ajas? Gdzież jest on, co mawia
Dumnie? Zawołany mąż, czemu się obawia?
A Ulisses wśród ciszy nocnej iść się waży,
Wśród mnóstwa mieczów, gęsto rozstawionej straży,
I nie tylko o mury trojańskie szerokie,
Lecz i o same grody kusi się wysokie.
Tam boginią w świątyni własnej grabi śmiele
I z zdobyczą umyka przez nieprzyjaciele?
Gdybym tego nie czynił, tarcz syn Telamona
Darmoby miał, choć z byczych skór siedmiu złożona.
Tej nocym Troję zdobył, tej nocy dostałem
Pergamu, gdy jej możliwość przegrany wskazałem.
Przestań mrugiem i szeptem Diomedowego
Udziału mi wskazywać; jest część sławy jego.
Wszakżeś i ty przy nawach nie sam jeden postał:
Tobie niezliczony gmin, ten się mnie sam dostał.
Ten, by nie czuł, że mężny mniej, niż mądry, płuży
I że taki dar ręce ladajakiej służy
Samby się brał do niego; toż Ajas waleczny
Brałby, tożby był robił Eurypyl serdeczny,
Nie mniej syn Audromena, miałby się do tego,
Idomeneus, ziomek też Meriones jego,
Żądałby nagrody brat Atrydy starszego.
Wszyscy mężowie dzielni (nie ganię żadnego):
Radą są mniejsi, jak ja. Wiem ja dobrze prawie,
Żeś bitny; lecz dowcip twój w mej być musi sprawie,

Ty moc bezrozumną masz, na mnie troska padnie
Przyszłości. Ty zwieść umiesz bitwę bardzo snadnie,
Ze mną czasy Atryda obiera w potrzebie,
Ty ręką, my rozumem wyżsi ponad ciebie.
Jak sternik większy, niż ten, co po nawie chodzi,
O ile wielki hetman żołnierza przechodzi,
Tak ja ciebie. W mem ciele lepsza się obiera
Pierś niż ręka, w tej dzielność cała się zawiera.
A zatem, hetmanowie, waszemu te dary
Przyznajcie strażnikowi, który z każdej miary
O was się zawsze troszczył, przez wszystek czas długi
Tą czcią jego przynajmniej nagrodźcie posługi.
Wszakże praca przy końcu, zwalone przeszkody
Łatwe czyniąc w zdobyciu, Troi wziąłem grody.
Tymczasem przez nadzieje was proszę społeczne,
Przez Troi wątłe mury i przez bogi wieczne,
Które ja właśnie wrogom zabrałem potężnie,
Przez wszystko, co zostało, coby jeszcze mężnie
Dodziaływać się nawet bardzo mężnie miało
(Jeśli sądzicie, Troi że szczęście zostało),
Wzgląd słuszny miejcie na mnie, gdy nie mnie samemu,
Dajcie (obraz Pallady pokazawszy) temu!«
— Wzruszyło to hetmanów i widzieć się dało,
Co mowa krasna może, bo co przysłużało
Mężnemu, porwał mowca. Ten, co Hektorowi
Stawiał opór, co mieczom, ogniu, Jowiszowi,
Gniewu się nie podoła oprzeć jedynemu.
Ból dosadził mężowi niezwyciężonemu.
Miecz porwał: »Mój, czy nie mój? Czy Ulisses bieży
I ten dla siebie porwać? Użyć go należy
Na mnie dziś i co moknął krwią nieraz trojańską,
Krwią się dnia dzisiejszego niechaj zbroczy pańską.
Żaden przecie Ajasa siłą nie przewyższy!
Tylko Ajas sam siebie!« Te słowa rzuciwszy

Miecz zatem w piersi, wtedy raz pierwszy zranione,
Wbił po samą rękojeść. Ręce nademdlone
Wyciągnąć go nie mogły, aż krew wycisnęła.
Jego to krwią ledwie ziemia opłynęła,
Kwiat przez darń wysadziła piękny, szkarłatowy,
Drugi właśnie z Hyacinta wyszedł był takowy.
Wyryta z chłopcem wspólna głoska Ajasowa
Na liściach: ta imienia, narzekania owa.

29. CZARODZIEJKA KYRKE.

»Synu bogini,
(Bo cię nieprzyjacielem po wojny skończeniu
Zwać nie słuszna), miej brzegi Kyrki na baczeniu!
I my, łódź przy kyrkejskim brzegu zostawiwszy,
Cyklopa, Antifata z myśli nie pozbywszy,
Nie chcieliśmy do dworu iść nieznajomego.
Los nam rozkazał, los mnie i Polita cnego,
Eurylocha, spitego winem Elpenora,
Do kyrkejskiego innych pchnął ośmnastu dwora.
Gdzie, jak tylko przyszliśmy i na próg wstąpili
Wilcy nam, lwy, niedźwiedzie ćmami zachodzili,
Strach zabiegiem swym rodząc, bać się nam nie dały
Ani się do żadnych ran zadawania brały.
To tylko, że machały żywo ogonami
I kupami radośnie chodziły za nami.
Przyjmują nas służące i przez znamienite
Wiodą do pani w sale marmurem przykryte.
Ta w przepysznym pałacu siedzi majestacie
W płaszczu świetnym, w kosztownej w złotogłowiu szacie.
Tuż Nimfy, Nereidy: lecz te nie siadają
Przy kądzieli, ni długich wici wyciągają,
Lecz chwasty rozkładają, brakując mieszane

Kwiecie w koszach i zioła pięknie zabarwiane.
Sama pilnuje pracy, które się przydaje
Na co liście, czyli się z niem zgodzi, poznaje,
Sama zioła odważa na szali złożywszy.
— Ta nas ujrzawszy, i wzajemnie pozdrowiwszy,
Twarz piękną ukazała, w myśl odprawę dała.
Prędko jęczmienia ziarna namącić kazała,
Sera podpuszczonego, miodu, treści winnej
Nie bez soków, by uszły przy słodyczy innej.
Taki to trunek z ręki przeklętej pijemy.
I ledwie pragnącemi usty kosztujemy,
A po głowie bogini pogłaszcze nas trzciną —
Aż wstyd, co powiem — jąłem obrastać szczeciną,
Na skargę nie mam władzy, chrapliwy wypuszczać
Zacząłem dźwięk, oblicze ku dołowi spuszczać.
Czułem, że się gęba w pysk obracała spory,
Że szyja sadłem rosła i czem trunek skory
Brałem, na tem stąpałem. A potem z drugimi
(Tak wiele czary mogą) równie uczczonymi
Do jaskinim wrzucony. Euryloch jedyny
Nie był wieprzem, widziałem, bo nie pił, jak inny.
Gdyby był tego trunku zażył razem z nami,
Pozostałbym do dziś dnia razem z warchlakami
I o takim wypadku wnet zawiadomiony
Nie przybyłby nasz Uliss mścić się rozjuszony.
Dał mu uspakający Merkury kwiat biały
Bogi zowią go »moly«; korzeń ma zczerniały.
Nim bezpieczny i radą boską opatrzony
W dwór Kyrki wbiegł; do picia zdradnie zaproszony
Gdy go po włosach różdżką głasnąć chciała, trącił,
I dobywszy oręża szyki jej zamącił.
Stąd wiara, dane słowo, w swej go zatem sadzi
Komnacie. On w posagu żąda ciał czeladzi.
Wtedy nas lepszym sokiem ziół nieznanych chluśnie,

I po głowach palcatem obróconym muśnie.
Pierwszym całkiem przeciwne wymawiając słowa.
Im spieszniej je powiada, tem ochotniej głowa
Podnosi się ku górze, spadają szczeciny
Z nóg rozdwojonych giną wszystkie rozpadliny,
Dawne wystają plecy, ramiona z barkami.
Witamy płaczącego zapłakani sami,
Rzucamy się na szyję. I nic nie mówili
Więcej zrazu, tylko to, żeśmy wdzięczni byli«.

30. APOTEOZA ENEASZA.

Już też zmusiła bogi, a nawet Junonę,
Eneaszowa cnota, gniew rzucić na stronę,
Gdy po ugruntowaniu królestwa Julowi
Godziło się do nieba bogini synowi.
I bogów wszystkich Wenus sobie zjednywała
Ojca szyję objąwszy, tak z nim rokowała:
»Zawsze łaskawy ojcze! Dziś, proszę cię, swojej
Użycz dobroci i z krwi Eneasza mojej,
Któremuś dziadkiem został, jakiemkolwiek w niebie
Obdarz bóstwem, niech też ma cokolwiek od ciebie.
Dosyć ma, że raz zwiedził królestwa surowe
Dobrze, że się przez rzeki przeprawił stygowe.«
Zgodzili się bogowie i królowa sprawie
Tej przychylna, na wszystko przystała łaskawie.
Ojciec powie: »Godniście czci boskiej koniecznie
O co i za kim prosisz, bierz, córko, skutecznie!«
Rzekł. Ta dziwnie radosna, za łaskę dziękuje,
Gołębice zaprzągłszy powietrzem zlatuje
Na brzeg Laurentu, kędy porosły trzcinami
Pędzi Numik do morza wartkiemi wodami.
Temu z niego śmiertelność nakazuje zniszczyć

Całkiem i pod wodami z nienacka oczyścić.
Rogawiec wnet Wenery wolę wykonywa,
Cokolwiek śmiertelnego z Eneasza zmywa
I płucze wodą. Część go najlepsza została.
Olejkami boskimi zmyte namazała
Ciało matka, zmieszaną ambrozyą z drogiem
Nektarem ust potarłszy, zrobiła go bogiem.
A tego rzesza rzymska Indigetem zowie
Świątyń, ołtarzy także zdaje pogotowie.

31. APOTEOZA ROMULUSA I HERSYLII.

Zmarł Tatius. Ty pod moc, Romulu, ująwszy,
Dwom ludom prawa dajesz; Mars przyłbicę zdjąwszy,
Taką do ojca bogów i ludzi rzecz stroi:
»Otóż, ojcze, czas nadszedł, gdy gruntowna stoi
Rzecz rzymska pospolita poddana jednemu,
Mnie i wnukowi ziścić obietnicę swemu,
I zabranego z ziemi osadzić na niebie.
Tyś mi w głos, rzeszę boską mając koło siebie —
Wszak pomnę i wyrok twój wziąłem w pamięć święty —
»Jeden będzie, co z twych rąk pójdzie w niebo wzięty«
Wyrzekłeś. Niechże wyrok twój stanie się wyrokiem«.
Przyzwolił wszechmogący i chmurnym obłokiem
Świetne zaćmił powietrze, krąg świata gromami
Przestraszył okrutnymi i błyskawicami.
To za znak obiecanej korzyści wziął prawy
Podparłszy się oszczepem na wprzęgłe w wóz krwawy
Konie Gradiw śmiały wpadł, trzasł biczem i z góry
Na wzgórze palatyńskie, zbiegł na dół przez chmury.
Gdzie, gdy królewskie prawa wkładał na Rzymiany,
Romulus wtedy został przez Marsa porwany.
Smiertelne się w powietrzu roztrząsły zasłony,

Jak ołów w połowie nieba z procy wystrzelony
Zwykł się kurzyć. Piękniejszy był, krzesła większego
Godny, jak kształt Kwiryna w trabeę strojnego.
Żona wtedy płakała, jakby po nieżywym,
Gdy się do Hersylii Juno szlakiem krzywym
Tęczy udać kazała i to zanieść słowo:
»O ty, z latyńskiego i z rodu, białogłowo,
Sabińskiego, czci godna męża tak zacnego,
I dziś godna żoną być Kwiryna wielkiego,
Nie płacz i jeśli pragniesz widzieć męża zbytnie,
Pójdź ze mną w las, co w górze palatyńskiej kwitnie,
Którym króla rzymskiego kościoł w krąg okryty«.
Ochotna Tęcza przez łuk barwami owity,
Spadłszy do Hersylii, rzecz podaną toczy
Ona ledwie z wstydliwem licem wzniósłszy oczy,
»O bogini, (któraś jest, rozumieć nie mogę,
A widzę, żeś bogini), prowadź mię niebogę,
I pokaż, rzecze, męża. Gdy mi się dostanie
Widzieć go oko w oko, niebem mi się stanie«.
I bez zwłoki z Taumasa córą się prowadzi
W Romulusową górę. Zaraz się wysadzi
Gwiazda i na dół spadnie; jej płomieniem płonąc
Z gwiazdą szła Hersylia w mrok niebieski tonąc.
Tę rękoma znanemi krzewiciel rzymskiego
Grodu wdzięcznie przyjmuje i z ciałem starego
Miana pozbywa również; Horą jest nazwana
I bogini przy boku Kwiryna sadzana.

32. NAUKA PYTAGORASA.

»Przestańcie, ludzie, jadłem ciał kalać brzydliwem!
Są użytki, są płody, ciężarem właściwym
Gałęzie schylające, są jagody winne,

Są zioła smaczne, są do gotowania inne
Rzeczy słuszne. Wolne wam są mleka płynące,
Wolne miody dzięcielnym kwiatem woniejące.
Rozrzutna ziemia skarby i smaczne obroki
Wypuszcza, daje żywność bez mordu, posoki.
Zwierz dziki żyje mięsem, jednakże nie wszystek.
Oto koń, oto stada i mnogi dobytek
Trawą się tylko żywią, o więcej nie dbają.
Lecz co grubsze i sroższe przyrodzenie mają,
Jak armeńskie tygrysy, jak lwy zapalczywe,
Jak wilki i niedźwiedzie, na krew zawsze chciwe.
Oh! zbrodnią jest wnętrzności do wnętrzności wtykać
I nawalonem ciałem ciałom się obtykać,
I stworzeniu śmiercią żyć stworzenia drugiego!
Czy w tak wielkich dostatkach, co dawczyni wszego
Cna matka ziemia sporzy, miło kąsać gwałtem
Ran smutnych zębem i żyć złych Cyklopów kształtem?
Jeśli nie sprzątniesz kogo, nigdy żarłocznego
Brzucha nie ukoisz, zły zwyczaj mającego?
— A ów wiek starodawny, złotym się mianuje
Owocami, ziołami, co ziemia hoduje,
Był szczęśliwy, ani ust posoką okrywał.
W ten czas mile w powietrzu ptaszek polatywał
Wtenczas bujał zajączek bez popłochu wszędzie,
Ni łatwowierna rybka wiąznęła na wędzie.
Bez zasadzki, bez strachów zdrady, pokój wieczny
Panował. Skoro sprawca mało pożyteczny
Zajźrzał jadłu, ktokolwiek z ludzi to sprawował
I mięsną strawą chciwie brzuch swój naładował,
Dał początek do zbrodni. I naprzód walony
Był zwierz dziki i oszczep posoką skrwawiony.
Lecz na tem było dosyć, prawda się tu powie;
Słusznie bity godzący zwierz na nasze zdrowie.
Lecz, jak go bić, tak nie tyć należało na niem.

Złe gorsze wyrosło stąd: Pierwsza ludzkiem zdaniem
Smierć poniosła bezroga, bo ziarno wyryła
Sporym pyskiem i roczną nadzieję zniszczyła;
Kozieł, że zgryzł winorośl, bity na ołtarze
Bakchowi mścicielowi, tej czyn winien parze.
A wy, owieczki, coście winne, cne bydlątka,
Ludziom w pomoc zrodzone? Co słodkość, chudziątka
W wymionach nam niesiecie? Wełną wspomagacie
Na odzież i zdrowiem nas, nie śmiercią wspieracie?
Co wielkie woły, z zdrady zwierzęta obrane,
Niewinne, nie obłudne, na pracę skazane?
Bez pamięci i daru nie godzien zbożnego,
Kto z swego pługu prosto wywiódłszy krzywego,
Mordował pracownika, kto oblazłe one
Z pracy, którymi pola przewracał przestronne,
Zniwa w swym domu ukrył, ciosem karki strącił.
I jeszcze mało na tem, że spokój zamącił:
Zbrodnię w bogów wmawiają, udawając wielce
Że moc niebieska chciwa, na robotne cielce.
Ofiara niezmazana, urody osobnej —
(Bo szkodą się podobać) w złocie i ozdobnej
Bindzie staje przed ołtarz, modłów słucha śmiele,
Patrzy, gdy mu wstawiają wśród rogów na czele
Zboże, na które robił, potem między oczy
Wziąwszy raz, nóż w wodzie snać ujrzany krwią zbroczy.
Z ciała żywego jeszcze trzewia oglądają
Wyjęte i wolę boską według nich badają.
Skąd zakazanych potraw głód taki w człowieku?
Śmiecie to jeść, narodzie, śmiertelnego wieku?
Nie czyńcie tego, weźcie w serce rady moje.
Ilekroć woły bite tkacie w gardła swoje,
Wiedzcie i czujcie, że swych rolników trawicie.
— Przeto, że bóg w me usta wdał się znakomicie
Idę za bogiem usty kierującym memi,

Otworzę Delfy swoje i niebiosa z niemi,
Wyjawię tajemnice najwspanialszej myśli,
Do której starzy swymi rozumy nie przyśli.
Rzecz tajną ja wyjawię. Więc na wysokości
Gwiazd stanąć pragnę, ziemskie rzuciwszy nicości,
W obłoki zejść i stanąć na Atlanta grzbiecie
Stamtąd też wszędzie dziki, lud błędny na świecie
Okiem z daleka widzieć i zdjętych upomnieć
Strachem śmierci, sposobem wyroków napomnieć:
— O ludzie, którzy zimną śmiercią się straszycie,
Czemu Styga, ciem, marnych imion się boicie,
Poetyckich wymysłów, trwóg złudnego świata?
Ciała, co stosy ognia, lub chorobą lata
Sterają, nie rozumiejcie, by co cierpieć miały.
Dusze nieśmiertelne są i gdy odbieżały
Dawnej swojej siedziby w nowe się udają
Przybytki, gdzie przyjęte wczasu zażywają.
Ja sam — bo pomnę — byłem za trojańskiej wojny
Pantoid, Euforb. którego Menelaus zbrojny
Dzidą przebił. Nie dawnom w lewej noszony
Swój puklerz poznał w Argach, w świątyni Junony.
Wszystko odmianą żyje, a nic nie umiera.
Lecz się tu, tam przenosi duch, członków nabiera
Jakichkolwiek, zwierzęcy w człowiecze się winie,
Człowieczy we zwierzęcy, a żaden nie ginie.
Jak się w nowych figurach wosk dobrze stosuje,
Nie zostaje, ni kształtów dawnych dotrzymuje,
Woskiem jest po staremu: tak, dusze istnienie
Mają zawsze, lecz w różną postać przemienienie.
Otóż, by nie uległa pobożność dla brzucha,
Przestańcie, prorokuję, pokrewnego ducha
Srogim wypchać zabójstwem, nie żyj krwi posoką.
— A kiedym się na głębię wydostał wysoką
I wiatrom żagle wydał: nic u świata w mierze.

Płynie wszystko, kształt wszystko nowy coraz bierze.
I czasy ustawicznym ruchem upływają
Właśnie jak rzeki. Rzeki nigdy nie stawają,
Im godziny podobne: za wodą się toczy
Woda druga, tę inna, tamtą druga tłoczy.
Tak czasy przebiegają i po sobie chodzą
I znowu bez przestanku, jakoby się rodzą.
Bo, co przeszło, jest niczem, co nie było, wschodzi,
I coraz inna chwila na nową zachodzi.
Widzisz, jak się zbiegła noc pod światło szańcuje,
Jak za nocą nadobne słońce następuje.
I niebios inna barwa, gdy średni piastuje
Sen zmordowane ciała, inna, gdy harcuje
Na lśniącym koniu Jutrznia; inna, gdy jasności
Goniec, Zorza, Febowej użycza światłości.
Sam boski puklerz, gdy się z pod ziemi wybije
Z dołu lub gdy mknie na dół w czerwieni się wije.
Najwyższy, najjaśniejszy. Natury wysoko
Eter jest lepszej; brudów nie cierpi głęboko.
Nie jest też jednostajny, ni ten sam nocnego
Księżyca kształt wiekuje; wszak od jutrzejszego
Dzisiejszy jest uboższy, jeśli go przybywa,
A zasię jest bogatszy, kiedy go ubywa.
Cóż? Nie widzisz, jak się rok na części rozkłada,
I żywota naszego podobieństwem włada?
Bo wątły i mleczysty, w każdym nadto szczątku
Latom równy dziecięcym na wiosny początku.
Wtenczas ziółka zielone i liche pęcznieją
I nie gruntowne, cieszą oraczów nadzieją.
Wtenczas rzecz każda kwitnie, więc pola igrają
Ziół barwami, choć listki sił mało dostają.
Po wiośnie w lato się rok przemienia mężniejszy
I stawa młodzian czysty: żaden ni dzielniejszy,
Ni żyźniejszy wiek inny, ani zapalczywszy.

Za nim w trop jesień, ogień młodości złożywszy,
Dojrzała i stateczna, sam środek trzymając
Między starym, a młodym, włos siwy wpół mając.
Po wszystkich zima stara drżenie wyprawując
Czołga się łysa lub też włos biały wskazując.
Nasze też ciała ciągle zmieniają się prawie,
Ani, w jakiej byliśmy, jesteśmy postawie,
Będziemy jutro. Dziecko bez władzy leżało
Najpierw, gdy łono matki na świat go wydało.
Potem jak zwierz czworonóg w górę się dźwigało,
I drżąc na małych członkach z wagą się stawało
Wątlutkie, czemkolwiek bądź żyłkom pomagając.
Mężny potem i bystry prędko pomijając
Wiek młodzieńczy; lata wnet średnie przepędziwszy
Mknie ku biednej starości chyłkiem się złożywszy.
Ta, wieku moc pierwszego burzy i rujnuje;
Narzeka stary Milon, gdy swe upatruje,
One, co zwierzom dzikim zakręcały karki,
Równe Herkulesowym, dziś obwisłe barki,
Płacze, zmaszczki w zwierciadle Helena rachując,
Czemu dwakroć porwana sobie się dziwując.
Czasie! Rzeczy pożerco i wstrętne dawności,
Wy prowadzicie wszystko, wszystko do nicości.
Rzeczy zżarte ostrymi kły wieku do woli,
Smiercią wolną trawicie do kęsa powoli.
— Nic o jednej postaci nigdy nie zostaje,
Z jednej rzeczy ta, z drugiej rzecz inna powstaje.
I odnowiciel rzeczy, całe przyrodzenie,
Prędko jedno z drugiego ulepi stworzenie.
A w świecie nic nie ginie, wierzcie, pewnie mówię,
Lecz się zmienia, odnawia i rodzić się zowię
Czem innem poczynać być, niż czem dawniej rosło;
Umrzeć, tem być przestawać. I choć się przeniosło
To tam, owo gdzieindziej, pozostaje wcale.

Ani ja wierzyć mogę, by co miało trwale
W jednym kształcie wiekować. Tak po wieku złotym
Żelazny był, tak los miejsc zmienił się obrotem.
Widziałem ja już morza, gdzie się rozpierała
Ziemia, widziałem, z morza ziemia powstawała.
Zdala od brzegów morskich muszle się trafiały,
Na szczytach gór kotwice też się znajdowały.
Gdzie równia była, woda dolin nadziałała,
Nie jedna góra wodą w morzu się została.
Z topielisk sucha ziemia piaskiem się gruntuje,
Gdzie sucho było, tam dziś bagnisko panuje.
Tu się z nowym natura ozwała strumieniem,
Zamknęła go gdzieindziej, dawnem potrząśnieniem
Ziemi, obfite źródła po świecie strzelają,
Albo też osuszone miejsca odbiegają.
— Wprzód dzień zbieży, Febus wprzód tchnące konie w wodę
Morską wpędzi, niż rzeczy te wszystkie wywiodę,
Które postać zmieniają. Zmiana wszystkiem włada:
Jeden naród moc bierze a drugi upada,
Tak się ludem, dostatkiem można panoszyła,
I tyle przez lat dziesięć krwi swej dostarczyła,
Dziś zamiast skarbów biedna Troja mury dawne
Pokazuje i groby dziadków starych sławne.
Pod ten czas słychać, że Rzym dardański powstaje,
Nad Tybrem, który wodę z Apenin dostaje,
W pobliżu jego fali dziwnie się rozsiada
I pod wielkim ciężarem grunt rzeczom zakłada.
Ten rosnąc kształt swój zmienia, a w niedługiej chwili
Wszech krain głową będzie. Ten jest głos Sybilli,
Ten wiecznych wyrok losów, tak wróżba mawiała:
Ile pamiętam, gdy rzecz trojańska się chwiała,
Syn Priama Helenus mówił płaczącemu,
Eneaszowi o swe życie wątpiącemu:
»Synu bogini, jeśli myśl prorocza moja

Nie tajna, nie zginęła, pókiś ty żyw, Troja.
Miecz, ogień wskażą drogę. Pójdziesz, a poniesiesz
Pergam porwany, dokąd się z Troją nie wniesiesz
W kraj obcy, nad ojczysty twej życzliwy głowie.
Widzę, posiędą miasto frygijscy wnukowie,
Jakie nie jest, nie będzie, krąg go nie miał świata.
To możnem inni rządcy przez niemałe lata,
Ale wszech rzeczy panem krew Iulowa sprawi.
Gdy go ziemia użyje, do nieba się stawi,
Niebo mu kresem będzie«. Tę bogonośnemu
Helen Eneaszowi dał otuchę cnemu.
Pomnę, radem, że z murem krewnym rośnie męstwo
I korzystnem dla Trojan jest Greków zwycięstwo.
Jednak, by się do kresu zapamiętałymi
Toru nie ominęło końmi rozbiegłymi,
Niebo i wszystko pod niem postawę nicuje;
Ziemia też i cokolwiek na niej się znajduje.
My także, cząstki świata, że nie szczególnemi
Jesteśmy ciały, ale duchami łotnemi,
I można nam w przybytki przenieść się zwierzęce,
Możemy we wnętrzności ukryć się bydlęce:
Ciałom, co braci naszych lub mogą powinnych,
Lub rodziców dusze mieć, albo ludzi innych,
Bezpiecznie i uczciwie żyć nie zabraniajmy,
Ni żołądków Tyesta jadłem napychajmy.
Do złego się zwyczai, jak się rozpasuje
Na krew ludzką, okrutny, kto nożem katuje,
Gardziel wołowy, ani ryk go ruszy jego,
Lub kto wytrzyma bek, jak dziecię żałącego
Się kozła, lub je ptaka własnego chowania.
Czem się tu doskonałej zbrodni nie dogania?
Jakie się przechodziny stamtąd sporządzają?
Niech orze wół lub niech go lata dotyrają,
Niech owieczka dostarcza na wiatr ostry zbroje,

Niech kózka rękom doić da wymiona swoje.
Sieci, sideł z pętami, sztuk, zdrad zaniechajcie,
Ani rózgą lepową ptactwa nie chwytajcie,
Ani gońcie piórami jeleniów strasznemi,
Ni wędek natykajcie pokarmy chytremi,
Bijcie, które nam szkodzą, ale tylko bijcie:
A nie jedźcie, żywnością przyzwoitą żyjcie!«

33. ESKULAP W RZYMIE.

Teraz Muzy, poetów boginie, czas macie
Zjawić — gdyż wiecie, ni się zwieść starości dacie —
Skąd Eskulapa, ostrów Tybru głębokiego
Między świętości miasta wprowadził rzymskiego.
Srogie powietrze niegdyś w Lacyum burzyło
I ciał ciężką chorobą wiele nawiedziło.
Zmęczeni pogrzebami i widząc, że sztuki
Ludzkie są marne, a także lekarskie nauki,
Proszą więc o ratunek wysokiego nieba,
Do Delos w środek ziemi o wyrok do Feba
Idą, żebrząc pomocy w swej dolegliwości,
Aby takiego miasta ukończył boleści.
Miejsce, wawrzyn, i sajdak, który miał, zadrżały
Razem i za trójnoga słowa się wydały
Z głębi kaplicy, każdy przestraszony został:
»Czego, Rzymianinie, chcesz, bliżejbyś był dostał,
I teraz żądaj bliżej, wam nie Apollina
Potrzeba na ratunek, ale jego syna.
Idźcie pod dobrą wróżbą, krwi użyjcie mojej«.
Senat rozkazy wziąwszy do rozwagi swojej,
W którem mieście byłby syn Feba, przewiduje,
I wnet do Epidauru poselstwo sprawuje.
Gdzie kiedy krzywą łodzią posłowie przybyli

8*

Senatowi greckiemu czołem uderzyli,
O boga wielce prosząc, któryby złe stosy
Auzońskie zniósł potężnie, bo tak każą losy.
Różne i sprzeczne zdania; część dopomódz radzi
W przygodzie: zasię na to wiele się ich sadzi,
By obrońcy nie puszczać, zbyć bez bóstwa gości.
Gdy dumają, zmierzch późny przygasił światłości
I cień ziemski krąg świata ciemności nabawił.
Bóg wtem pomagający we śnie ci się zjawił
U łoża, Rzymianinie, w świątecznej osobie,
A w ręce lewej berło leśne dzierżył sobie,
Prawą podługowatą brodę pogłaskiwał
I w te się słowa łaskaw do ciebie odzywał:
»Przyjdę, nie bój się, cerkwi odstąpię tu swojej
Lecz temu, co się oplótł w koło laski mojej,
Wężowi też się przypatrz i uważ go prawie,
Abyś go pewnie poznał. Ja w jego postawie
Stawię się, większy jednak, a zgoła w tej mierze,
Jaką ciało niebieskie pospolicie bierze«.
Zaczem bóg z głosem, z głosem i bogiem sen zniknął,
A ze snu ustąpieniem dzień śliczny wyniknął.
Nazajutrz gwiazdy Zorza rozprószyła z nieba:
Senat nieświadom, jak z tem sprawićby się trzeba,
W pysznej cerkwi boga się żądanego stawił,
Prosząc, gdzieby chciał osiąść, by cudownie zjawił.
Ledwie słów domówili, gdy czub spory mając
Od złota, w wężu dał się bóg słyszeć sykając.
Z nadejściem ołtarz, posąg, ziemia z podwojami
Marmurowa z złotymi zadrżała dachami.
On wpół kościoła po pierś wyniosły pokroczył,
I ognioślniącym wzrokiem tu i tam zatoczył.
Strach padł na lud. I kapłan boga poznał święty,
Białą wstęgą włos mając na głowie opięty,
Zawołał: »Bóg, oto bóg, kto się tu uwija,

Nam wszystkim sercem, słowy, niechaj każdy sprzyja.
Na nasz pożytek, piękny, daj nam się zobaczyć
I wspomóż lud, co umie twe świętości raczyć«.
Weń patrząc, kto obecny, czci każdy przysparza,
A mówiąc za kapłanem modlitwy powtarza.
Też Rzymianie i sercem sprzyjają i słowy.
Przytaknął bóg, wstrząsnąwszy czubem dał znak zdrowy
I na nowo zasyknął język wychyliwszy,
Po stopniach potem idzie, gdzie w tył zawróciwszy
Twarzą, oglądając się na ołtarze dawne,
A odchodząc dom żegna i kościoły sławne.
Skąd kwiatkami po ziemi usłanej się plezie,
Gnie chwostem i samym się miasta środkiem wiezie
Do portu wyłamaną tamą ujętego.
Tam stanął i swój pochód i prowadzącego
Tłumu ochotę niby żegnając łaskawie,
Ciało swe usadowił na auzońskiej nawie.
Która też zaraz boski ciężar zrozumiała
I prawie się ładowną boską wagą stała.
— Radzi Rzymianie wołu zabiwszy na brzegu
Kręte liny wieńczonych naw walą do biegu.
Wiatr lekki łódź pochwycił. Wzrostem bóg wysokim
Znaczny, głowę na sztabie dzierżąc kręci okiem
Po wodach modrych. Wiatrem umiarkowanego
Zefira wieziony do morza jońskiego
Płynął spokojnie dalej, potem lawinowych
Grodów świętych dojechał i nurtów tybrowych.
Ludu tłum, matek, ojców doń się garnie silnie,
I którzy strzegą twoich, Westo, ogniów pilnie.
Tłumem boga witają w radosnym sposobie,
A gdziekolwiek łódź przeciw wodzie stąpi sobie
Na stawionych ołtarzach rzędem potrzaskują
Kadzidła w obie strony i wiatry przejmują,
Wnet rzezana ofiara nóż broczy wrażony.

Już w miasto Rzym, stolicę świata, wprowadzony
Wąż się dźwiga i szyją nad miastem szermuje,
I sobie przystojnego miejsca upatruje.
Dzieli się na dwie strony nurt swemi wodami —
Ostrowem on nazwany — dwoma ten bokami
Równe odnogi wznosi, środkiem mając ziemię.
Tam zsiadł z nawy latyńskiej wąż, Febowe plemię
I przybrawszy niebieskiej postaci wyprawił
Koniec smutku i miastu na zdrowie się stawił.

34. APOTEOZA CEZARA.

Cezar jest w Rzymie bogiem. Radą i wojnami
Możnego, nie skończone wojny triumfami,
Nie przewagi domowe, nie kwapiona chwała,
Spraw dzielnych w nową gwiazdę i w kometę wdała,
Raczej syn miły jego. Ani większy powstał
Cezara czyn nad ten sam, że mu ojcem został.
Czy większa jest, Brytanny shołdować śródwodne,
I Nilu papiernego rzeki siedmiochodne
Cynifejskiego Iubę i Mitradetskiego
Imiona Pont nadęty Rzymowi przypisać,
Wielu godzien triumfów, kilką się popisać,
Niż tego zrodzić męża, za którego prawie
Ludowi stawili się bogowie łaskawie.
By tedy ten z krwi nie był śmiertelnej zrodzony,
Tamten pierwej musiał być bogiem uczyniony.
Co matka Eneasza złota zrozumiawszy,
I śmierci kapłanowi gotowej dojrzawszy,
I broni sprzysiężonych poruszanej, zbladła,
I bogom wszystkim, kędy którego napadła:
»Patrz, mówiła, jak twardo na mnie się buntują,
I na jednego z jaką zdradą postępują,

Który mi po dardańskim Iulu sam zostawał.
Mnież się w znak słuszny smutek coraz będzie dawał?
Którą to kalidoński grot Tydyda psuje,
To trojański mur słabo broniony frasuje.
Widzę długiem tułactwem syna stroskanego,
Błądzi po morzu i kraju dopina niemego.
Więc wojnę z Turnem toczy, a raczej z Junoną?
Jeśli się ma prawdę rzec. Bo cóż pokrzywdzoną
Dawno krew naszą wspomnieć. Strach niniejszy broni
Dawne pomnąć. Przeklęte miecze ostrzą oni!
Co proszę, pohamujcie, zbrodni nie spuszczajcie,
Ni kapłańską krwią Westy ogni przygaszajcie!«
— Te słowa smutna Wenus po niebie napróżno
Miota, bogów zagrzewa, którym, że nie zdrożno
Starych siostrzyc żelazny wyrok łamać boski,
Przyszłej przecie znamiona pewne dają troski.
Między czarne obłoki zbroje znoszą brzmiące;
Srogie trąby i surmy po niebie brzęczące
Słyszano, godło zbrodni. Krąg słoneczny smutny
Promień ziemi żałosnej podawał okrutny.
Wielekroć na powietrzu pochodnie gorzały,
Wielekroć krwawe krople z deszczem opadały.
Twarz zżółkłą i rdzy pełną Jutrzenka miewała,
W krwi kolasa księżyca ciągle opływała.
Puhacz dawał w tysiącu miejsc wróżbę żałości
W tysiąc miejsc sączyły łzy ze słoniowej kości,
Pienia jakieś słyszano; tę wieść sprawę daje,
Szły i na poświęcone groźne słowa gaje.
Ofiary się nie darzą, wnętrza znać dawają
Zgrzyt przyszły: martwą główkę w trzewiach natrafiają.
W rynku, około bogów i kościołów wszędy
Psy nocne wyły często, ówdzie i tamtędy,
Nieme cienie się wiły; miasto się wstrząsało.
— Przecież się zdrad i losów przyszłych nie udało

Przepowiedziom niebieskim wyrugować zgoła,
Oręże wydobyte znoszą do kościoła;
Albowiem w całem mieście tej zbrodniczej sprawie
Miejsce nie zda się inne, ratusz na mord prawie.
Zaczem rękoma Wenus w piersi uderzyła
I nieba go obłokiem nakryć zamyśliła.
Jakim niegdyś zachowan Parys rąk Atrydy.
Jakim uszedł Eneasz srogiego Tydydy.
Do niej rzekł ojciec: »Córko, wywrócićbyś chciała
Wieczne losy, raczejbyś w dom trzech sióstr bieżała,
Ujrzałabyś tam prawa niezmiernej wielkości
W mosiądzu i żelazie ryte dla trwałości.
Te ni grzmotów niebieskich, ni się gromów boją
Ni ruin, wiekuiste i bezpieczne stoją.
Znajdziesz tam w dyamencie szczerym rysowane
Twej rodziny przygody. Te przez mnie czytane
Panują w głowie mojej; chcę ci je powiedzieć,
Byś na potem o przyszłych rzeczach mogła wiedzieć.
Ten, kogo bronisz, dobiegł, Cytereo, świata,
Upłynęły już, które ziemi winien lata.
By w niebo wszedł i bogiem w chramach był chwalony,
Ty zjednasz i syn jego; on ciężar włożony
Dziedzic imienia, jeden sam dźwigać podoła,
Jego on śmierci się mszcząc, nas do boju zwoła.
Za sprawą jego mury obległej Mutyny
Będą litości prosić za swe wielkie winy.
Pozna go też Farsalus, Filippy krew zmaże
I na sykulskiem morzu zwalczy imię wraże.
I książęcia rzymskiego egiptejska żona,
Hardzie w małżeństwo każąc będzie poskromiona
I darmo grozić będzie, aby kiedy miały,
Jej Kanopowi służyć kapitolskie wały.
Dalej po co wyliczać pogańskie narody,
Co leżą po obu stron Oceanu wody?

Cokolwiek zmieszkanego krąg ziemski piastuje,
Jego wszystko: okrąg morza też jemu hołduje.
Wróciwszy pokój ziemi, prawem się zabawi,
Prawodawca pobożny, uchwały ustawi,
I będzie obyczaje swym krojem kierować.
Ten, gdy swe i wnuków swych będzie opatrować
Czasy przyszłe, synowi z świątobliwej żony
Przejąć kłopoty wszystkie każe wraz z imiony,
I nie pierwej, aż lata Nestora przybędzie,
Wśród niebios, gwiazd pokrewnych staruszek zasiędzie.
Ty zatem duszę wziętą z ciała zabitego,
Czyń gwiazdą, by nie spuścił wiecznie oka swego
Z Kapitolu Julius bóg, siedząc na niebie«.
— Ledwie skończył, cna w koło senatorskie siebie,
Nikomu niewidoma, w lot Wenus wmieszała,
I Cezara swojego z członków wnet wyrwała,
A ochraniając, aby w powietrze nie poszła,
Duszę świętą na niebo między gwiazdy wzniosła.
Że nabiera jasności i ognia, poznała,
Więc puściła. Nad księżyc tamta wyleciała
I promienisty warkocz opodal po sobie
Wydawszy, zajaśniała już w gwiazdy osobie;
A widząc czyny syna wyższość mu przyznaje
I zwyciężonym w sprawach sam siebie uznaje.
Ten choć swych nad ojcowskie dzieł nie chce przedkładać,
Lecz sława wolnomyślna, co nikomu składać
Hołdu nie zwykła, mimo woli go przesadza
Nadeń i w jednej mierze tylko się nie zgadza.
Tak Agamemnonowi Atreus ustępuje
Tak Egeus Teseusowi, Achill pokonuje
Peleusa. Bym równe też wzory przytoczył:
Saturnus od Jowisza też niżej odskoczył.
Nieba i świata królestw trzech jest Jowisz sprawcą,
August wszech ziem. Ten i ów ojcem i praw dawcą.

Bogowie, Eneasza towarzystwo drogie
Proszę, którym przejść dały ognie, miecze srogie,
I wy, rodzinne bogi i miasta zacnego
Ojcze, Kwirynie, także Kwiryna wielkiego
Rodzicielu, Gradywie i Westo dostojna,
Której świątynia wśród domów Cezara strojna,
Ty także Febie, z Westą Cezara domowy,
I ty, Jowiszu, co gród dzierżysz tarpejowy,
Wszyscy, których wieszczowi wymienić się godzi:
Niech późno, nie za mych lat, dzień ten niech nadchodzi,
Gdy rozstawszy się z światem głowa szczęsna siędzie
W niebie i nieobecna modłom sprzyjać będzie.

35. ZAKOŃCZENIE.

Już ukończyłem dzieło. Jego nie pokona
Piorun, ogień, żelazo, starość niezmierzona.
Już, gdy raczy dzień, który do ciała samego
Ma prawo, niech dokończy czasów wieku mego.
Lepszą mą częścią w niebo będę przeniesiony,
Ani też z mem imieniem stanę zaginiony:
Lecz, gdziekolwiek dosięgły rzymskiej siły znaki
Przez lud czytany będę, dokąd tylko szlaki
Swymi lata pobieżą, jeżeli prawdziwy
Jest duch wieszczy proroków, sławą będę żywy.

DRUKARNIA
W·L ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE